AS



Nr. 50
13 GRUDNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

UŚMIECHY NA „DZIEŃ DOBRY"

Gertruda Niesen z wytwórni „Universal Pictures".

AUTOBUS WYNALAZCÓW

W bieżącym roku wygasł patent na zatrzask błyskawiczny. — Pierwszy wynalazł go Niemiec (?) Poduschka, ale pomimo zgłoszenia patentu umarł, nie uzyskawszy grosza. Dopiero Szwed, Sunback w 1905 r. wykańcza pomysł Poduschki i uzyskuje patent. Jak znaczny przemysł rozbudował się na tym patencie widzimy z tego, że w samych Niemczech wyrabia ten zatrzask 10 fabryk z roczną produkcją aż za 8,000.000 m!

A teraz coś o Edisonie: Bezwzględną zasługą jego jest wykonanie pierwszej praktycznej żarówki. Jednakże pierwszą myśl świecenia za pomocą rozżarzonej sztabki węgla powziął w 1838 r. Jobard w Brukseli, a wykonał tę myśl parę lat później jego uczeń Chagny. Żarówkę z platynowym drucikiem zademonstrował Grove w 1840 r. — Edison też był tym, który pierwszy założył elektryczną instalację oświetleniową. Działo się to w 1879 r. kiedy oświetlił 115 żarówkami parowiec „Columbia". New York to synteza USA, a jednak do tego miasta mogłyby Niemcy zgłosić pretensję. Miasto zostało bowiem założone przez Niemca Minnewita (co prawda z polecenia Holendrów). I wogóle to, że St. Zjednoczone mówią po angielsku, a nie po niemiecku, to przypadek tylko! W 1774 r. było na terenie St. Zjedn. 3,50 miljona mieszkańców, z tego połowa Niemców. — By usunąć sprzeczki co do języka urzędowego, kongres w dniu 14. IX. 1774 zarządził głosowanie. Wniosek za językiem angielskim przeszedł większością 1 głosu i to... Niemca! — Kraje anglosaskie to, wiadomo, ojczyzna zbieraczy-dziwaków. W Philadelphii był taki pan Roger, który zbierał fotografje specjalnie brzydkich i zniekształconych ludzi. W miarę zbierania robi się z niego coraz większy odludek, aż wreszcie zwarjował. Mniej niebezpieczną manję ma niejaki Mr. Eatling z Avonmane. Zbiera banknoty i zbiór jego obejmuje już 27.000 różnych objektów — będąc jedynym na świecie. — Najstarszy jego banknot pochodzi z Chin i liczy 600 lat; drukowany jest na liściu drzewa.

Gdy mówimy o banknotach i Stanach Zjednoczonych, przypominają się tamtejsze napady, gangsterzy etc. To też słusznem jest, że tam właśnie istnieje firma „Acme Protection Equipment Co". której celem jest opancerzanie osobowych aut od kul i wypadków.

★

Największy odłam zbieraczy świata to oczywiście filateliści. Komitet olimpijski w Berlinie, przewidział natłok amatorów na marki z igrzysk olimpijskich i urządził specjalnie sprawną obsługę pocztową: dziennie wpływało do 100.000 pisemnych zamówień na marki. Jeden klient tylko zamówił 46.000 kart ostemplowanych, inny 5.000 arkuszy marek, trzeci znów przedłożył w okienku naraz 9.000 listów poleconych do ostemplowania najróżniejszemi stemplami!

Dumni jesteśmy z naszej poczty, ale i starożytni umieli ją też zorganizować. Najdawniejsze daty mamy z Persji. Stworzona przez Cyrusa, wydoskonalona przez Dariusza, sieć kurjerów (Angara) funkcjonowała tak sprawnie, że naprzykład z Suzy do Sardes wiadomość szła 6 dni. Gdy piszę to przypominam sobie, że za staro-greckich czasów turystyka była rzeczą tanią, bo podróż morzem z Grecji do Egiptu, kosztowała tylko 2 drachmy, t. j. około 6 zł. Tanio, ale niezbyt musiało być bezpiecznie, gdy się przypomni, że brzegi Morza Śródziemnego roiły się od kryjówek rozbójników i najgorszych awanturników. W Rzymie za cesarskich czasów równie doskonale rozbudowaną była poczta (Cursus publicus), ale tylko dla celów urzędowych. Wiadomość z Małej Azji do Rzymu szła wtedy tylko 20 dni.

★

Jak wiadomo, druk polega na zastosowaniu poszczególnych luźnych liter. Dziwnem a jednak prawdziwem, że już Rzymianie dawali swoim dzieciom, by ułatwić im naukę czytania, ruchomy alfabet, t. j. tabliczki, na których figurowała coraz to inna litera. Cicero proponował drukowanie, przez zastosowanie ruchomych liter. W Chinach dawno już „drukowano", a raczej odbijano teksty wyrżnięte na tabliczkach drewnianych. Najstarsza znaleziona „drukarnia" pochodzi z 770 roku.

Na czemże polega zasługa Gutenberga? Oto na tem, że on dopiero dał to, co mogło rozwinąć się w nowoczesnem drukarstwie: ruchome z metalu odlewane litery, czcionki i powielanie mechaniczne. Dlatego to tyle wieków trzeba było czekać, aż w połowie XV w. w Moguncji zaczął drukować książki Imci Pan Jan Gensfleisch zum Gutenberg.

Mówiąc o druku, nie można chyba pominąć papieru, a przynajmniej początków jednego choć gatunku. Papier ze szmat, wykonany został po raz pierwszy prawdopodobnie w Samarkandzie w IX. w. przez niewolników chińskich. Ale skąd Chińczyk dostał się do Samarkandy? Poprostu onego czasu pobiło się dwóch czupurnych książąt Turkiestańskich między sobą. Jeden z nich dostał za silnie w skórę i poleciał błagać cesarza Chin o pomoc. To się znów nie podobało rezydentowi Abasydów w Chorasan i posłał wojsko z Samarkandu, pod trudnym do wymówienia dowódcą Zijad-ibn-Saliha. Onże wódz, nad rzeczką Thoraz w gorącym miesiącu lipcu 851 r. przetrzepał wszystkich i przepędził aż poza granice Chin, a sam wrócił z chwałą i licznemi jeńcami (także Chińczykami) do Samarkandu. — Jak to często bywa — wśród niewolników znaleźli się mądrzejsi od zwycięzców (n. p. podczas wojny światowej we Francji wyrabiali termometry lekarskie jeńcy niemieccy). W danym wypadku było trochę Chińczyków-papierników. Nie mając surowca używanego w Chinach, zaczęli oni wyrabiać papier ze szmat. Jakiś czas monopol utrzymał się przy Samarkandzie, by potem szybko dostać się na zachód. Pierwszą fabrykę papieru w Bagdadzie założono już w 794 r. Przedtem używano papyrusów, potem pergaminu, dopiero za Harun-al-Raszyda, jego minister w 794 r. polecił w kancelarjach używać papieru, bo... chciał zapobiec widocznie licznym fałszerstwom. Na papyrusie lub pergaminie łatwo było bowiem wymazać pismo i coś innego napisać — na papierze trudniej. Z papierem więc łączy się posmak Dalekiego Wschodu. Cóż to była za przygoda, taka podróż przez bajeczne kraje, trwająca miesiące! A dopiero rynek w Samarkandzie, gdzie spotykali się najlepsi opowiadacze fantastycznych historyj w najbardziej kolorowem otoczeniu, owiani mgłą tajemniczości! Czyż 1001 noc mogła o czem innem powiadać, jak właśnie o tych stronach?

O papierze do pakowania wspomina już w XI w. Pers Narisi Chosran w opisie podróży do Egiptu i powiada, że zakupione w bazarach Kairu przedmioty były zawijane w papier. W Europie najprzód wyrabiano go w Hiszpanji, potem we Włoszech, we Francji w XII w., w Anglji w XVI w., w Niemczech prawdopodobnie około XIII w.

★

Wiele dramatów przeżywa dusza kobiety, gdy nie może sobie pozwolić na jedwabną suknię lub nie może dostać jej od męża! Na pociechę powiem, że cesarz Aurelian odmówił swej żonie jedwabnej szaty, bo — jak mówił — za kosztowna to rzecz dla jego kieski. A pierwszym wogóle który nosił płaszcz jedwabny był Cezar Heliogabal, około 200 r. — Karol Wielki swój cesarski płaszcz zaledwie mógł obramować paskami z jedwabiu, a ówcześni możni tego świata nieraz wzajemnie pożyczali sobie jedwabi, taki to był kosztowny materjał.

Nic dziwnego, bo tylko dalekie Chiny go dostarcza.y. Jedwab był otaczany taką tajemnicą, że nawet nie wiedziano, jak się go wyrabia — przypuszczano, że rośnie na drzewach! Dopiero zakonnicy greccy w VI. w. przywieźli z Chin kokony i wyjaśnili sprawę. Grecja jak mogła tak starała się utrzymać tajemnicę jedwabiu dla siebie, ale nie długo to jej się udawało, bo wkrótce wyrób jedwabiu przedostał się do Sycylii, Włoch, a w XIII w. do Francji.

Na zakończenie anegdotka z dziejów jedwabnictwa w Polsce.

Pewien ziemianin, p. Morawski, właściciel Łatoszyna k. Dębicy, powiedział sobie w połowie XIX w., że jego córka pójdzie do ślubu tylko w sukni z własnego jedwabiu! Oczywiście taki przewrotowy plan spotkał się z ogólnem brakiem uznania. Ale p. Morawski był uparty, i tak musiało być.

Zasadzono morwowe drzewa i chodowano jedwabniki. Gdy córka jego Ewelina zaręczyła się z p. Dunin-Brzezińskim, zebrał posiadany jedwab i posłał do fabryki, tak, że w 1865 r. panna młoda szła do ołtarza w sukni z własnego jedwabiu!

Jerzy Dołęga Lewandowski

Konkurs na najlepszą nowelę „Asa".

ODPOWIEDZI SĄDU KONKURSOWEGO:

Aldous: Nowela pańska została przyjęta pod numerem 179 (As Nr. 47).

Mllun Wel: Reklamacje pańską uwzględniono.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

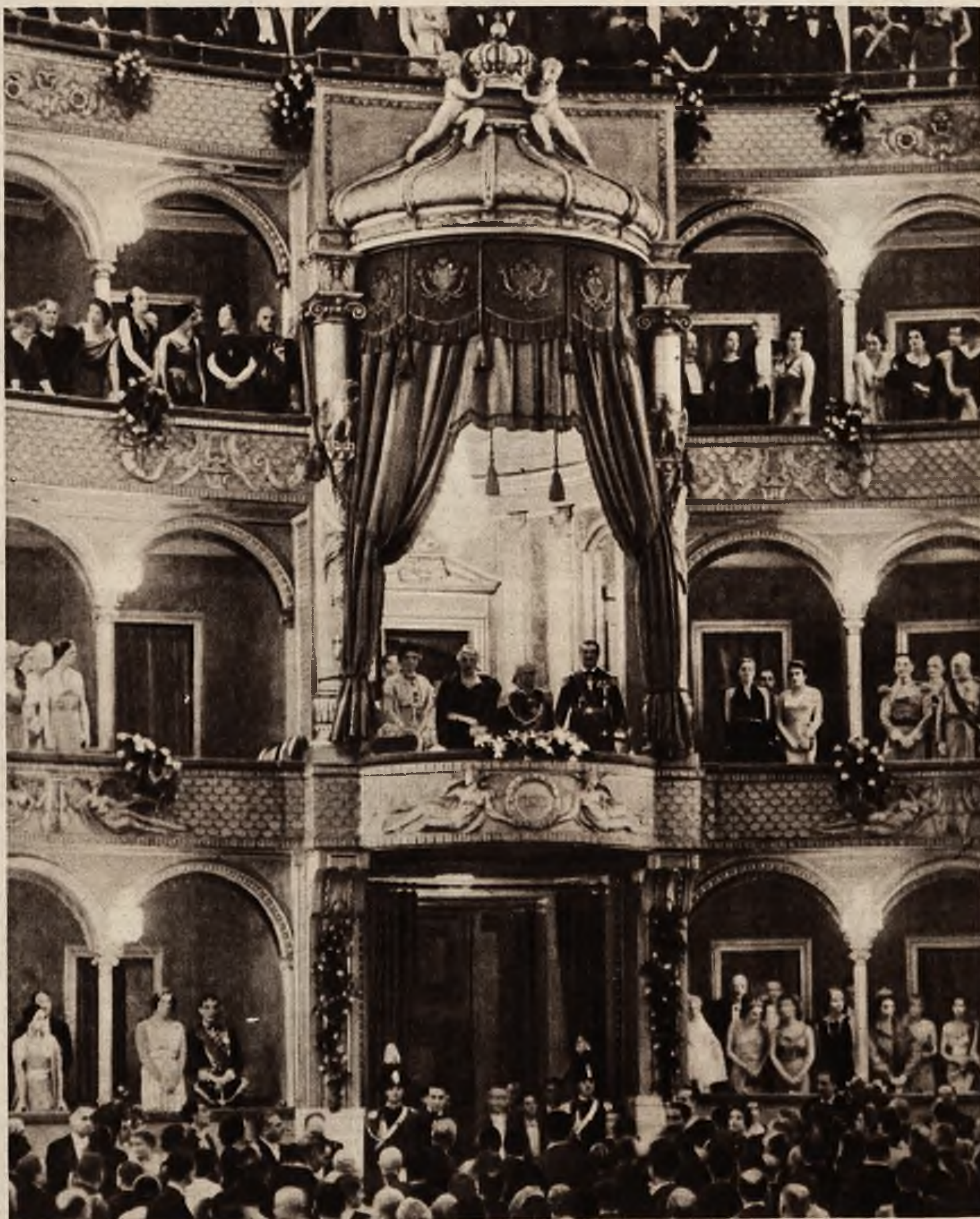
AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 50 **Niedziela 13 grudnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 50-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Pomimo, iż po wojnie światowej wszystkie państwa europejskie, opanowane ideologją prezydenta Woodrowa Wilsona i Ligi Narodów zarzekały się, że na przyszłość nie będą tworzyć żadnych bloków, stawiając ponad wszystko sprawiedliwość i solidarną współpracę, to jednak zapowiedzi te pozostały pustemi słowami. Oczywiście że tworzenie się nowych aljansów, mających zastąpić dawną Ententę oraz Trójprzymierze, nie następuje błyskawicznie. W ostatnich jednak czasach zarysowały się wyraźnie nowe tworzące się bloki: z jednej strony Francja i Rosja z drugiej Niemcy, Włochy, Austrja i Węgry. Potwierdzeniem powstawania tych grup politycznych są ostatnie wydarzenia w związku z wojną domową w Hiszpanji a przynależność Węgier do bloku włosko-niemieckiego, została podkreślona wizytą regenta królestwa, admirała Horthy'ego w Rzymie. Na zdjęciu widzimy fragment opery królewskiej w Rzymie, a w środkowej loży króla włoskiego Wiktora Emanuela III. z królową Heleną oraz regenta Węgier z małżonką.

»CZAPKA NIEWIDKA« W PRZYRODZIE



„Achriopter a spinosissima" czyli patyczak, to olbrzym podobny łudząco do gałązki róży pokrytej kolcami, na której przebywa



Od lewej: Modliszka (Coeradodis strumaria) imituje wspaniale zeschły listek. Inny gatunek tej rodziny (Gongylus gongyloides) posiada na odnóżach jakgdyby listki, które przyjmują w chwili atakowania przez nieprzyjaciela odstraszającą postawę.

Do zagadnień, które oddawna interesowały wielu przyrodników, i były przedmiotem ich badań, należy zjawisko mimetyzmu. Mimo coraz większej ilości zbieranych obserwacyj i dotąd zagadnienie to nie zostało jeszcze całkowicie wyświetlone i w dalszym ciągu stanowi temat naukowych rozważań i dyskusyj.

Wiele zwierząt barwą swą przystosowuje się do otoczenia tak, że w danem miejscu są one trudno dostrzegalne. U zwierząt krain polarnych, dominuje barwa biała, doskonale harmonizująca z bielą lodów i śniegów. Zwierzęta pustyń i stepów cechuje ubarwienie płowe lub brunatne, zbliżone do barwy piasków lub skał. Mieszkańcy lasów i puszcz podzwrotnikowych przyjmują przeważnie barwy jaskrawe i żywe, barwa zielona niektórych ptaków i owadów zlewa się z soczystą zielenią otaczającego listowia. U rozmaitych planktonowych zwierząt morskich, jak meduzy, skorupiaki czy ślimaki, ciało jest przezroczyste i dla wielu wrogów trudno dostrzegalne lub niemal zupełnie niewidzialne.

U niektórych zwierząt przystosowanie do otoczenia posuwa się tak daleko, że dane zwierzę zmienia ubarwienie zależnie od barwy podłoża, na którem się znajduje. Tego rodzaju zjawisko można zaobserwować u krajowej naszej żabki zielonej zwanej rzekotką. Na świeżem, zielonem liściu, w dzień pogodny przyjmuje ona zabarwienie intensywnie zielone, w dzień pochmurny i deszczowy barwa jej może przejść w szarawą. Podobnie zmieniać może swe zabarwienie kameleon, jaszczurka żyjąca na Madagaskarze i w krajach śródziemnomorskich, co nawet stało się przysłowiowem.

Inne znowu zwierzęta zmieniają ubarwienie swej sierści czy upierzenia zależnie od pór roku. Gronostaj, który w lecie nosi futerko brunatne, zmienia je w zimie na białe, przez co na tle śniegu staje się niewidoczny. Podobnie zając alpejski czy sowa polarna dostosowują swe ubarwienie do podłoża, zależnie od pory roku. Szare w lecie, bieleją, gdy nadejdzie okres śniegów.

Te barwy ochronne, względnie zdolność zmiany ubarwienia zależnie od podłoża w znacznym stopniu ułatwiają tym zwierzętom życie, stanowiąc niekiedy jedyną obronę dla zwierzęcia przed grożącem mu niebezpieczeństwem. Obserwować to można zwłaszcza w świecie owadów, u których prócz przystosowania barwnego występuje ponadto często jeszcze naśladownictwo w kształtach otaczających je przedmiotów. Owad do złudzenia nieraz przypomina liście, gałązki, patyczki, korę lub pokrywające ją porosty. Można koło takich stworzeń przejść, co więcej nawet, można na nie patrzeć i zupełnie ich nie zauważyć, zwłaszcza wtenczas, gdy znajdują się w bezruchu. Najwybitniej przystosowanie to występuje w krajach podzwrotnikowych, gdzie życie cechuje wielkie bogactwo form i postaci. Niektóre z nieszkodliwych owadów przyjmują postać i rysunek czy barwę owadów jadowitych lub wydzielających niemiłą woń i w ten sposób zabezpieczone są do pewnego stopnia przed napaścią nieprzyjaciela, który najczęściej pamiętając o zgubnem działaniu „modeli" unika też i ich trafnych „naśladowców".

Jako typowy przykład mimikry w każdym niemal podręczniku zoologji czy biologji podawany jest egzotyczny szarańczak — liściec, który łudząco przypomina liść nietylko barwą i kształtem, ale także użyłkowaniem swych skrzydeł, uderzająco podobnym do unerwienia liścia. Podobnie u krewnych tego „wędrującego" liścia (Tanusia signata, Pterochrosa mimia) pierwsza para skrzydeł imituje blaszki liściowe wprost drobiazgowo. Na skrzydłach tych widoczne są dziurki i symetrycznie rozmieszczone nadcięcia jakgdyby wygryzione przez gąsienice, co zwiększa jeszcze podobieństwo między owadem a liściem; jest ono niemal zupełne wtenczas, gdy owad złoży skrzydła.

Inni przedstawiciele tej samej rodziny noszą nazwę patyczaków, która pochodzi od nadzwyczajnego podobieństwa do patyczków lub gałązek. Owady te są małe lub duże, brunatne lub zielone, uskrzydlone lub



1



2



3



4



5

Na lewo: 1. Larwa owada „Pseudocanthops spinulosa" naśladuje łudząco kolec. 2. „Leptacris filiformis" — szarańczak przypomina swym wyglądem źdźbło słomy. 3. Larwa owada „Hymonopus coronatus" imituje kwiat. 4. „Brancsikia aeroplana" niczem się nie różni od zeschłego liścia. 5. Podobną postać posiada również „Phyllocrania paradoxa" — modliszka.



Na lewo: 1. „Lithinus nigrocristatus" stanowi doskonały przykład owada imitującego korę drzewa, na którem przebywa. 2. „Typophyllum rufifolium" ma wygląd zeschłego liścia 3. i 3 a. Dwie odmiany pluskwiaków, przypominających wyglądem korę drzewną. 4. „Messena nebulosa" — pluskwiak złożywszy skrzydła nie różni się niczem od porostów na korze drzewnej.

bez skrzydeł, o prostej lub bardziej złożonej budowie. Oto jeden z patyczaków (Palophus reyi) naśladuje zeschłe gałązki pewnego afrykańskiego krzewu, inny zaś (Archioptera spinosissima) — czyż nie daje nam złudzenia świeżo oderwanej gałązki róży, pokrytej kolcami? Gdy siedzą na gałązkach niektórych zwłaszcza roślin, stają się zupełnie niewidoczne. Dopiero gdy się poruszą lub wzniosą w górę na rozpostartych skrzydłach, zdradzają swą obecność.

Podobne przystosowanie cechuje również drapieżne modliszki. Taka np. Brancsikia aeroplana przyjmuje wygląd zeschłego liścia, który na pierwszy rzut oka trudno od prawdziwego odróżnić. Jedne gatunki modliszek są barwy zielonej, inne brunatnej, jedne imitują świeże, inne uschnięte liście roślin. To podobieństwo do liści stanowi nietylko dla nich obronę, lecz ułatwia im także napaść na słabsze owady

Jeszcze inne owady przypominają wyglądem swym korę drzew, czego doskonałym przykładem mogą być liczne egzotyczne pluskwiaki. Podobieństwo jest tak dokładne, że nawet bystre oko niełatwo je spostrzeże.

Według dawniejszych poglądów w przystosowaniach tych dopatrywano się celowości. To niezmiernie pożyteczne dla zwierząt przystosowanie miało powstać w drodze doboru naturalnego. —



Powyżej: „Pterochroza mimia", zwana dla swego podobieństwa z liśćmi — liściem.



Powyżej: „Tanusia signata" — szarańczak posiada pierwszą parę skrzydeł podobną do liści, nadciętych przez szkodniki.



Na prawo: „Palofus reyi" — patyczak z powodzeniem upodabnia się do zeschłej gałązki.



Na lewo: Oto dwie ropuchy „Ceratophrys cornutus" (na prawo) i „Bufo superciliosus", które łatwo można wziąć za kamienie.

Niewątpliwie barwy te dostosowane do podłoża, jak też i naśladowanie kształtem ciała czy też rysunkiem otaczających przedmiotów, mają duże znaczenie ochronne, lecz nie całkowite. Nie możemy bowiem patrzeć na zwierzę oczami ludzkiemi i rozpatrywać jego barwy jako ochronnej z naszego punktu widzenia. Rozważając tak zapominamy bowiem o tem, że każde zwierzę ma swoich wrogów, którzy je mogą widzieć inaczej aniżeli my. Owadom naprzykład największe niebezpieczeństwo zagraża ze strony innych drapieżnych krewnych, a oko owada zbudowane jest na innej zasadzie, aniżeli oczy kręgowców. Owad widzi obrazy nieostro, nie odróżnia więc na skrzydłach drugiego owada rysunku, który ma stanowić jego zabezpieczenie. W tym wypadku naśladowanie przez owady bezbronne gatunki niebezpieczne lub wydające odrażające zapachy nie stanowi pewnej ochrony przed zagładą. Wiele jeszcze innych faktów przemawia przeciwko zwolennikom celowości i bezwzględnej użyteczności barw ochronnych. Trudno naprzykład jest nam zauważyć zająca siedzącego pod krzakiem lub na roli. Dla nas ma on barwę ochronną nie ma to jednak większego znaczenia, gdy chodzi o głównego jego wroga, jakim jest lis, ten bowiem mimo ochronnej barwy szaraka może go wytropić swym doskonałym węchem. Podobnie jakże trudno jest nam zauważyć szarą kuropatwę, siedzącą na roli, jak jednak łatwo odszuka ją pies, kierując się swym węchem!

Są też muchy, które wyglądem swoim i barwą tak są podobne do ós, że zwykły śmiertelnik nie wdający się w szczegóły budowy unika ich jako niebezpiecznych owadów. Niektóre z nich pasorzytują w gniazdach osich, gdzie składają jajka w komórkach sporządzonych przez osy, a gąsienice ich żywią się gotowym pokarmem, nazbieranym przez osy. Niektórzy tłumaczą to tem, że muchy mogą się łatwo dostać do gniazd, ponieważ osy nie odróżniają od siebie tych doskonałych „naśladowców". Czyż jednak to zabarwienie może odgrywać tak ważną rolę, gdy w gnieździe jest ciemno?

Jest prawdopodobnem, że jednakowe warunki, w których żyją zwierzęta nawet ze sobą niespokrewnione, wyciskają na nich pewne piętno, które objawia się w podobieństwie ubarwienia. Ubarwienie wielu zwierząt zależne jest nieraz od warunków świetlnych. Zwierzęta, które prebywają na pewnych, określonych przedmiotach o danej barwie, wytwarzają w swem ciele przedewszystkiem te barwiki, które najmniej podlegają działaniu światła, powodującego ich rozkład, a równocześnie są najbardziej zbliżone do podłoża. W niejednym wypadku ubarwienie zależne jest od innych czynników, związanych ze zjawiskami dyfrakcji i interferencji światła. Nieraz znowu światło barwne nie oddziaływa bezpośrednio na skórę lub barwik, lecz tylko za pośrednictwem nerwów.

Musimy się przyznać, że dotąd nie potrafiliśmy jeszcze znaleźć dostatecznie jasnego i przekonywującego wytłumaczenia tego ciekawego zjawiska. Przed kilkudziesięciu jeszcze laty, kiedy powszechnie wierzono w celowość natury, sprawa ta wydawała się jasną i prostą. Obecnie jednak wiemy, że zagadnienie barw ochronnych i przystosowania do otoczenia związane jest z wieloma czynnikami, których roli i znaczenia nie umiemy jeszcze całkowicie wyjaśnić.

Dr Z. M.

CZARKA
MARGRABIEGO BELLISOMI



Czarka z kryształu górskiego, ozdobiona rytym ornamentem, niegdyś własność margrabiego Bellisomi, obecnie znajdująca się w Muzeum Narodowem w Krakowie (z daru Franciszka Biesiadeckiego).

O kulturze dawnych wieków świadczą przedmioty, dochowane po zbiorach publicznych lub prywatnych. Sztuka nietylko zaznaczyła swoje przejawy w architekturze, rzeźbie i malarstwie, ale wniknęła ona w drobne, nieraz luksusowo wykonane przedmioty, stwarzając wielkie dzieła pracy rąk ludzkich.

Przemysł artystyczny w połowie XVII wieku stał na bardzo wysokim poziomie. Starano się o bogate ozdabianie nietylko naczyń kościelnych, ale również przedmiotów domowego użytku.

Jednym z najzdolniejszych szlifierzy szkła i kryształu górskiego był swego czasu Jerzy Schwanhardt starszy, rodem z Norymbergi (ur. 1601, zm. 3 kwietnia 1667 r.). Zaczął pracować w Pradze pod kierunkiem Lehmanna, a w 1622 r. przeniósł się do swego rodzinnego miasta. Najcharakterystyczniejszemi dla jego twórczości są przedmioty, w których niektóre szczegóły grawerował zapomocą djamentu. Znaczna część znanych jego dzieł jest ryta w krysztale górskim. Ten cenny i szlachetny materjał najwięcej odpowiadał artyście. Kształt naczyń dekorowanych musiał być dostosowany do materjału. Przez łączenie poszczególnych części kryształu ze złotemi lub srebrnemi klamrami uzyskiwał żądaną formę. Powtarzająca się ornamentyka roślinna w jego dziełach pozwala i ułatwia identyfikowanie prac wyszłych z pod jego ręki. Jerzy Schwanhardt miał wielką łatwość rysunkową, grawerowane przez niego sceny mają obok świetnej techniki z lekkością potraktowany wzór. Tematami (zwłaszcza w początkach jego twórczości) są portrety, później polowania, widoczki itp.

W zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie (z daru Franciszka Biesiadeckiego) znajduje się czarka z kryształu górskiego, pochodząca od margrabiego Bellisomi, zamieszkałego w okolicach Rzymu. Czarka z okrągłą podstawą ma uszy ślimakowato zakończone, które przymocowane są do niej zapomocą pierścieni, ozdobionych paskiem z przerywanej czarnej emalji. Czasza ozdobiona jest ornamentem rytym jak gemma. Składają się na niego cztery pasy poprzeczne, pomiędzy któremi rysunek odgraniczony jest linją. Górą biegnie ornament szeroki na 2 cm z liści akantu (wzór powtarzający się dwa razy) w ten sposób środki tego fryzu przypadają na miejsca przyczepień ucha. Pas następny najszerszy (4 cm) ma dekorację z rytą sceną z polowania. Wykonanie tego fryzu jest bardzo delikatne. W ślad za uciekającym zającem w stronę sieci rozciągniętej pomiędzy dwoma drzewami, pędzą dwa psy i pasterz. Pasterz trzyma w lewej ręce laskę, prawą podtrzymuje róg przy ustach. Tło do tej sceny stanowi siedm drzew i widok zamku. Pomiędzy konarami jednego z drzew lecący ptak. Pod spodem powyższej sceny mamy znów ornament (szeroki 1.8 cm) z liści akantu, biegnie on naokoło nieprzerwanie Zakończenie czarki u spodu tworzy ornament w migdały. Podstawa, jak już zaznaczyłem, jest okrągła, połączona z czarką złotą obrączką. Tworzy ona jakgdyby dwie płytki, jedna nad drugą. (Sama czarka jest wysoka 11.5 cm, górą szeroka 7.7 cm, z uszami 2 cm, podstawa o średnicy 5.4 cm).

Artysta, który przedmiot powyżej opisany ozdabiał delikatnym rysunkiem, w części szlifowanym djamentem, starał się wgłębieniami szlifu zakryć usterki, powstałe z natury rzeczy w samym materjale, które często spotyka się w krysztale górskim. (W dolnej części kryształowa czara ma skazę na przestrzeni 3 cm).

Z opisu przedmiotu i porównania z wiadomemi pracami Jerzego Schwanhardta, czarka z Muzeum Narodowego w Krakowie posiada mnóstwo ornamentów, cechujących jego dzieła. W Victoria and Albert Museum w Londynie znajduje się czara, wprawdzie znacznie bogatsza od naszego przedmiotu, niemniej jednak mająca dużo cech wspólnych zwłaszcza w ornamentyce, jak, również w scenie figuralnej. To samo da łoby się powiedzieć o przedmiotach przez niego wykonanych z innych zbiorów, jak np. w Muzeum przemysłu artystycznego we Frankfurcie, w Zamkowem Muzeum w Wejmarze, Berlinie itp.

Pozornie drobny przedmiot, jakim jest nasza czara, stanowi jeden z nielicznych tego rodzaju wyrobów, znajdujących się w zbiorach polskich.

Na marginesie należy wspomnieć, że rodzina Bellisomi osiedlona była w Małopolsce i z niej to pochodził lekarz krakowski, margrabia Bellisomi w końcu XIX wieku.

Dr Edward Łepkowski.

Literatura: Robert Schmidt „Das Glas". Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift. Robert Schmidt „Zum Werk Georg Schwanhardts D. Ä."

KĄCIK FILATELISTYCZNY

„Pomoc Zimowa" i — pomoc dla dzieci— oto hasło, pod którem w miesiącu grudniu w każdem omal państwie wydano znaczki dobroczynne, a więc: Gdańsk, Niemcy, Austrja, Szwajcarja, Holandja, Belgja, to już kraje, gdzie tradycja takich serji sięga daleko wstecz. — U nas zrobiono wreszcie pierwszy krok w tym kierunku, chociaż wydano tylko „pół-znaczki" — po 5 i 10 groszy, które naturalnie figurować będą w każdym zbiorze specjalnym, ale nie zyskają one uznania w oczach zagranicy.

Dla niezamożnych zbieraczy lepiejby jednak było, ażeby najwyższe dopłaty wynosiły po 5 lub 10 gr, bo znaczki za 1+1 Sch. lub za 40+35 fen. są dla nich niedostępne.



Dwa najnowsze znaczki duńskie, wydane z okazji 400-lecia wprowadzenia kościoła ewangelickiego

Ostatnio panuje moda na bloki, tak, że w jednym miesiącu mamy do zanotowania, aż 2 ze Szwajcarji i Luxemburgu. Serję „Pro Patria" wydano łącznie, z tem, że dopłata wynosi aż 1.40, a blok Liechtensteinu zawiera po 2 znaczki po 20 i 40 rappen i kosztuje również dwa franki. Ciekawe czy cena tych bloków pójdzie również tak niesłychanie w górę, jak „Iposta", „Ostropa" i t. p. Wobec tego, że bloki te nie zawierają nowych pod względem rysunku znaczków nie reprodukujemy ich.

Zamieszczamy natomiast 2 ciekawe Danje: za 5 öre zielona (ze zbioru p. mgr. Bałowskiego, Katowice) i 30 öre niebieska (ze zbioru p. Skwirzyńskiego — Kraków). Są one wydane na 400-lecie uznania kościoła ewangelickiego, w Danji, wartości za 5, jak i za 7 öre (fioletowe) przedstawiają . Kościół św. Mikołaja w Kopenhadze, a za 30 öre katedrę w Ribe. Ci, którzy krytykują polskie stemple, mają tu przykład, że nie lepiej jest często zagranicą i faktycznie wartościowy jest znaczek minimalnie prześwietlony, aniżeli zastemplowany.

Mnóstwo nowości pojawiło się ostatnio i tylko brak miejsca nie pozwala nam omówić dalszych ślicznych Niemiec, brzydkich Gdańsków, wspaniałych Francyj; Belgje już są „w drodze" — podobnie, jak i Szwajcarje z nowemi strojami narodowemi, a na Boże Narodzenie ucieszymy się czterema „Voor het Kind" z aniołkiem i trąbką pocztową. łowski — za miły list i znaczek dziękujeszyłoby wielu zbieraczy.

W. H.

W OAZIE UCZCIWOŚCI

„Ciągnie wilka do lasu" — mówi przysłowie, które jest klasycznym przykładem na to, że większość przysłów, to... fantazja i nieporozumienie! Są bowiem kraje, gdzie długoletni moralny „trening" zmienia do tego stopnia charakter mieszkańców, że odbiegają oni najzupełniej od swoich współbraci w innych krajach. Jednym z takich oryginalnych krajów jest Danja, a cechą charakteru, którą wykształcono w ciągu lat jest... uczciwość.

O ile ludność wschodu Europy, a po części i południa jej nie cieszy się zbytnio opinją uczciwości, o tyle znowu północ, a przedewszystkiem Skandynawja może być uważana za ojczyznę ludzi skrupulatnych i pozbawionych zupełnie zrozumienia dla tego „nen olet", które powoduje tyle wielkich katastrof i tyle małych epizodów codziennego życia. Jedynym bodaj wyjątkiem i wyłomem w tej skandynawskiej uczciwości, to łupieżcze wyprawy królów szwedzkich na Europę, a ostatnio niemniej łupieżcza wyprawa Kreugera po europejskie... zapałki! Ale tego nie można brać pod uwagę, gdyż, zgodnie z definicją, że „wielkie złodziejstwa nabierają cech zdarzeń historycznych" — przekroczyły one ramy zwykłej nieuczciwości.



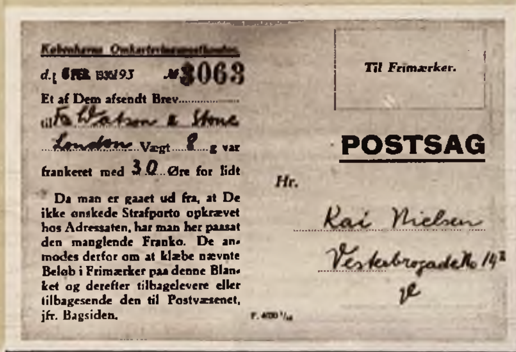
Na lewo: Nieostrożny szofer zawiesił na rowerze, zniszczonym przez swój samochód, kartkę ze swoim adresem i numerem telefonu...

Opinją przysłowiowo uczciwego miasta cieszy się stolica Danji, Kopenhaga. Dla człowieka nie przyzwyczajonego do tamtejszych stosunków na każdym kroku czeka na niego niespodzianka. Oto wysyła ktoś za nisko ofrankowany list, co w każdem innem państwie kończy się tem, że adresat musi dopłacić odpowiednią kwotę, a ponadto zapłacić karę. Zupełnie inaczej jest w Danji. Nietylko, że adresat nie płaci kary, ale wysyłający otrzymuje wezwanie od poczty, zresztą bardzo uprzejmie zredagowane, wzywające go do naklejenia na kartce brakującego znaczka! Poczta otrzymując za nisko ofrankowaną przesyłkę, dolepia na własne ryzyko dany znaczek i posyła ją dalej. Ale oto inny obrazek, który można nieraz zaobserwować w Danji. Pasażer jadący tramwajem zapomniał wziąć ze sobą pieniędzy i stwierdza to dopiero w chwili, kiedy ma wykupić bilet. Konduktor nie każe mu bynajmniej wysiadać, ani się na niego nie gniewa, lecz wystawia mu bon pożyczkowy na kwotę na jaką opiewa bilet przejazdu i cierpliwie będzie czekał chwili, kiedy pasażer wpłaci daną sumę. Jak stwierdzają statystyki tramwajów duńskich, w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto bony kredytowe zostały wykupione, z czego wynika, że conajmniej 90 procent ludności jest nietylko uczciwych, ale też pedantycznie przestrzega porządku. Albo taki wypadek: lekkomyślny rowerzysta, mający do załatwienia jakąś dłuższą sprawę w domu lub w sklepie, oparł swój rower o trotuar. Nieostrożny szofer taksówkowy najechał na rower i wkrótce żelazny pegaz zamienił się w pomarszczoną ruinę. Nie mogąc znaleźć właściciela roweru, szofer zawiesza na rowerze kartkę, podając swój adres, a nawet telefon z postscriptum, że jest w domu w tych i w tych godzinach. I czeka na zgłoszenie! Z ręką na sercu przyznajmy, że korci nas, aby taksówkarza posądzić o lekkie rozmiękczenie mózgu!



Na prawo: ...mleczarz wydaje resztę z pieniędzy, położonych bez nadzoru przed drzwiami...

Niemniej ciekawym jest obrazek, z którym spotykamy się na każdym rogu ulic Kopenhagi. Oto stoi kiosk sprzedawcy gazet, który prowadzi swoje „przedsiębiorstwo" do pewnej godziny, a następnie udaje się do domu na obiad. Zostawia wtedy kapelusz na pieniądze, a swój dobytek opiece publiczności. I cóż się dzieje? Wraca po kilku godzinach na swoje stanowisko i stwierdza, że ubyła pewna ilość gazet, przybyła zaś odpowiednia ilość drobnych monet w kapeluszu. Między jednem a drugiem zjawiskiem panuje idealna harmonja, ani o jedną koronę zadużo, ani zamało. Tak żyją ludzie w Danji, gdzie wrodzona, względnie wyrobiona dzięki wiekowemu wychowaniu uczciwość eliminuje z życia wszelkie konflikty dające się gdzieindziej tak bardzo we znaki.



Københavns Omkarteringspostkontor.
d. 6 FEB 1935/93 №3063
Et af Dem afsendt Brev
til Fa Watson & Stone
London Vægt 8 g var
frankeret med 30 Øre for lidt
Da man er gaaet ud fra, at De ikke ønskede Strafporto opkrævet hos Adressaten, har man her paasat den manglende Franko. De anmodes derfor om at klæbe nævnte Beløb i Frimærker paa denne Blanket og derefter tilbagelevere eller tilbagesende den til Postvæsenet, jfr. Bagsiden.
F. 400 ¹/₃₄
Til Frimærker.
POSTSAG
Hr.
Kai Nielsen
Vesterbrogade No 14²
V

Powyżej: Oto jak wygląda uprzejme wezwanie duńskiej poczty, proszące o nalepienie znaczka, którego brakowało na liście!



Na prawo: Samotny kapelusz sprzedawcy gazet jest równie bezpieczny, jak kasa ogniotrwała...

Z punktu widzenia psychologicznego, zjawisko to jest nader ciekawe, gdyż przeczy ono twierdzeniu jakoby istniały pewne wrodzone cechy charakteru w każdym narodzie. Trzeba przypuszczać, że niezawsze uczciwość była cechą Skandynawów, a wyrobiła się dzięki specjalnym warunkom życia i mądremu wychowaniu przez państwo. To, co się widzi w Kopenhadze i wogóle w Skandynawji, nasuwa ciekawe refleksje, skoro porówna się z temi zjawiskami stosunki panujące w innych krajach. Zresztą co kraj, to obyczaj... B. S. (Kopenhaga).



Na prawo: Konduktor wydaje pasażerowi bez pieniędzy „bon pożyczkowy"...

TESTAMENT LORDA

KAZIMIERZ ŁUKOCZ

NOWELA

Jednym z najbardziej zabytkowych i wspaniałych pałaców londyńskiego West-Endu był niewątpliwie pałac lorda Cedryka of Carborough. Zbudowany w skromnym, ale wytwornym stylu Ludwika XVI, otoczony był wielkim parkiem, nieco wprawdzie zarośniętym, ale tem bardziej uroczym. W pałacu mieściły się wysoce ciekawe i cenne zabytki sztuki antycznej i współczesnej, malarstwa, rzeźby, oraz piękna bibljoteka. Większość tych zabytków lord Cedryk odziedziczył po swoim ojcu, znanym mecenasie sztuk pięknych, sam zaś przez sześćdziesiąt lat swego życia dorzucił do tego potężnego zbioru niejedną cegiełkę, czyniącą zeń jeden z największych zbiorów prywatnych Anglji. Zwłaszcza jeżeli chodzi o makaty wschodnie oraz miniatury, główną zasługę położył w tym względzie lord Cedryk of Carborough. Nie możnaby mimo to twierdzić, że lord Cedryk był miłośnikiem sztuk pięknych: owszem przyznawał im wielką wartość jako umilenie życia, przyznawał, że dają one dużo miłych wzruszeń i że są czynnikiem kulturalnym, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, aby zachwycać się sztuką. Mając olbrzymi majątek — lord Carborough uważany był za jednego z najbogatszych ludzi Anglji, — zdawał sobie sprawę, że trzeba popierać artystów, ale czynił to raczej dla formy, dla względów towarzyskich, bo „tak wypadało" niż z wewnętrznego przekonania. Nie przejmował się tem zagadnieniem, jak żadnem innem.

Lord Cedryk należał do tych ludzi, którym zgóry możnaby napisać nekrolog, nie popełniając zresztą najmniejszej omyłki. Wiadomo było od chwili, kiedy jako młody człowiek wszedł w życie, w to wielkie życie angielskiego lorda, że nie uczyni nic, coby zaciemniło sławę jego nazwiska, że nie splami, jak się to mówi potocznie swej tarczy herbowej, wiadomo było też, że w ramach dozwolonych prawem i zwyczajem użyje życia, pozna wszystkie jego arkana, dobre i złe strony. Można było też wspomnieć w nekrologu, że wspierał szczodrze szpitale i fundacje dobroczynne, że cieszył się sympatją nietylko w salonach, ale też na torze wyścigowym, na boiskach sportowych, w kołach kolegów z Oxfordu, z Klubu. Jeździł równie dobrze konno, jak dobrze władał laską golfową, a polowania jego na lisa, które corocznie urządzał w swoich posiadłościach należały do ewenementów angielskiego high-life'u. Ale wszystko, co o tym człowieku można było powiedzieć, było nader suche, oficjalne, jakby wyjęte z dziennikarskiej notatki. Nie znalazłoby się w jego życiu momentów żywszych, spontanicznych, uczuciowych.

Lord Carborough siedział w dużym, skórzanym fotelu, zwrócony tworzą do weneckiego okna, wychodzącego na park. Nogi miał owinięte pledem, choć w pokoju panowała nieco duszna, gorąca atmosfera. Na tle okna rysował się ostro jego profil; rasowag łowa stanowiłaby wspaniały temat dla snycerza kamei, a cienkie rysy, sceptycznie uśmiechnięte usta, wyniosłe czoło okolone siwiejącemi włosami, tworzyły typową całość, przypisywaną zwykle, i nie bez słuszności osobom o starej kulturze. Patrzał na ogród, pokrywający się rdzą jesieni, a oczy jego jakby czegoś szukały. Wiedział jednak dobrze, że niczego już w życiu nie może się spodziewać, że wyczerpał dobre i złe chwile w swej egzystencji i że należy się wnet usunąć. Spoglądając przez okno, lord chciał raczej objąć całość ogrodu, który tylokrotnie łączył się w jego pamięci z różnemi wspomnieniami. Ten kawałek ogrodu, widziany z okna, związany był z wieloma epizodami jego życia, które teraz, gdy przykuty był chorobą do fotela, budziły w nim dziwne refleksje.

Ciężka choroba serca nie dawała lordowi żadnych złudzeń co do możliwego wyzdrowienia: wiedział, że przyszły ostatnie jego chwile. Wątpliwości co do jego stanu zdrowia rozwiał lekarz jego, dr Dunduff, po dokładnem zbadaniu chorego. Lecz nie o to chodziło: lord nie bał się śmierci, nie bał się nawet cierpień, które już i tak dostatecznie poznał w ciągu swej rocznej choroby. Wiedział, jak gentlemanowi przystoi umierać, wiedział też, że agonja nie zdoła z niego uczynić bezwolnego starca, wyczekującego ze strachem w rozszerzonych źrenicach ostatniej chwili. Lord Cedryk aż nadto był opanowany: każdy gest jego, każdy czyn wypływał na tyle z impulsu, ile z pewnego obliczenia życiowego, z kalkulacji, która stała się jego drugą naturą. Jako młody człowiek odziedziczył duży majątek po ojcu i zaraz zajął należne mu w towarzystwie angielskiem stanowisko. Odtąd życie jego płynęło spokojnie, bez wstrząsów wewnętrznych, jakby w tem widowisku jeden akt następował, zgodnie z programem, po drugim. Dużo podróżował, wiele poznał ludzi, i niejedna kobieta odegrała w tem życiu pewną rolę, ale to wszystko ograniczało się tylko do pewnej strefy życiowej: do serca lordowskiego nikt nigdy nie zdołał się wedrzeć. Pozostało ono jakby wielkim nowoczesny hotelem, do którego przyjeżdżają goście, pobędą pewien czas, a potem, bez pożegnania, dawszy tylko napiwek portjerowi i służbie, opuszczają, aby nigdy już nie powrócić! Tak też było u lorda: wiele wrażeń, sympatji, przelotnych uczuć gościło w jego oschłem sercu ale żadne nie zdołało się utrwalić i wkrótce musiało ustąpić przed nowem, silniejszem. Podobnie, jak na staw rzucony kamień tworzy na jego powierzchni kółka, rozchodzące się ku brzegowi, a po chwili zwierciadło wody znów jest gładkie, spokojne i ciche, tak też dusza lorda Cedryka była spokojna, zrównoważona i cicha, gdyż żaden wewnętrzny nurt nie mącił jej harmonji. Jako młody człowiek, nazywał on swoje usposobienie i poglądy „programem" i był bardzo dumny z tego światopoglądu. Uważał się nawet za pewnego rodzaju filozofa, który znacznie stoi powyżej tych wszystkich, których życie przedstawia obraz wahającego się to w tę lub tamtą stronę wahadła. Lecz od pewnego czasu, zwłaszcza zaś od chwili kiedy choroba sercowa zmusiła go do ciągłego przebywania w domu, pewne wątpliwości poczęły nawiedzać jego duszę. Powstały one wtedy, gdy ranna poczta przynosiła mu liczne listy od starszych i zdawałoby się, dobrych znajomych, od przyjaciół, towarzyszy zabaw i niezliczonych osób, spotykanych w różnych salonach, w których bywał w Londynie i stolicach Europy. Wprawdzie twarze tych osób nie zostawiły w jego pamięci zbyt silnego obrazu, ale przypominał sobie różne epizody z niemi przeżyte. Żaden z tych listów nie przekraczał form grzecznościowych, żaden też z nich nie zawierał cieplejszego słowa, ani też prawdziwego zainteresowania się chorobą lorda.

— Niewdzięczne figury! — zawyrokował lord z gorzkim uśmiechem.

Ale zastanowiło go to: począł przypominać sobie twarze tych ludzi, przechodzić w pamięci spólne eskapady, polowania, wy-

cieczki zagranicę, zabawy w paryskich kabaretach lub londyńskich klubach. Stanęły mu w pamięci jakieś rauty towarzyskie, imprezy dobroczynne, wspólnie przeżyte bale i przyjęcia. Choć chciał ich potępić za brak serca i zainteresowania i szukał ich winy, to jednak, po długich rozmyślaniach dochodził do przekonania, że nie można im było robić właściwie żadnego zarzutu. Musiał im przyznać rację, tem boleśniejszą, że po raz pierwszy w życiu zdał sobie z tego sprawę. Tak, dla wszystkich był tylko miłym towarzyszem zabaw, był sympatycznym kolegą, ale niczem więcej. Żadne serce nie zabiło na wieść o jego ciężkiej chorobie, którą traktowano jako wiadomość bez głębszego znaczenia.

Po raz pierwszy w życiu zauważył lord Cedryk Carborough, że był sam na świecie. Dotychczas zdawało mu się, że jest otoczony ludźmi życzliwymi, chętnymi podzielić dobre i złe chwile. Składało się niestety tak, że dzielli tylko dobre, bo troski zamykał lord głęboko w swej duszy. Zbyt był dumnym i zbyt obcym ludziom, by pokazywać swoje chwile słabości. I tak przeszło wiele lat, zanim naprawdę zdołał poznać atmosferę, w której żył.

Dusznym wydał się lordowi pokój, jakiś ciężar zdawał się ciążyć na jego chorem sercu. Z wysiłkiem otworzył okno, aby zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza. Do przegrzanego pokoju weszła smuga świeżego powietrza, przepojonego zapachem gnijących liści i mokrej ziemi.

Zza cicho uchylonych drzwi ukazał się stary służący lorda, Jakób Hobson, który pana swego doglądał z całą pieczołowitością. Ale mimo całego oddania. Jakóba, otaczali go o tyle tylko opieką i sympatją, o ile szło to w parze z ich interesami.

Do pokoju weszła pielęgniarka, miss Grace Hobson. Była ubrana w biały strój, który w zestawieniu z piękną twarzyczką dziewczyny, jej dużemi, niebieskiemi oczyma, możnaby nazwać „cywilnym strojem" anioła.

— Milordzie, trzeba będzie zażyć krople! — rzekła, podchodząc do chorego.

— Tak, niestety, najgorszą stroną choroby to są paskudne lekarstwa! — skrzywił się lord ironicznie.

Trzymając w ręku flaszkę z lekarstwem, usiadła obok niego. Od tej pięknej dziewczyny szedł jakiś powiew dobroci, spokoju i miłości bliźniego. Z pod czepka wysuwały się kosmyki kasztanowatych włosów, które czyniły jej twarz bardziej jeszcze piękną.

— Jak pan się czuje dzisiaj, milordzie? — zapytała, nalewając płyn do szklanki z mlekiem.

— Miss Hobson — począł lord, jakby przygotowując się do długiego przemówienia. Niech się pani nie pyta o moje zdrowie! To głupstwo. Pewnego pięknego poranku, kiedy na dachu tego domu ćwierkać będą wesoło wróble, dwunasty hrabia of Carborough będzie należał do przeszłości! W kilka dni później odbędzie się jego pogrzeb, na którym będzie dużo oficjalnych mów, a mało nieoficjalnego współczucia. „Times" i inne gazety opiszą mnie, jak się należy i stwierdzą, że jeden z najstarszych tytułów Anglii nie ma dziedzica i na tem koniec. Anglja pozostanie nadal Anglją, świat potoczy się swemi kolejami, ludzie w dalszym ciągu będą kochać się i nienawidzieć, prawić sobie pochlebstwa lub impertynencje i nic właściwie się nie zmieni... A pani pójdzie do swego szpitala, będzie pielęgnować innych chorych i wszystko będzie jaknajlepiej... W kaplicy w Carborough-Castle zostanie tylko w trumnie jegomość, który za życia nie mógł rozwiązać pewnego prostego zagadnienia, nie dającego mu spać i umrzeć...

Lord Cedryk zamyślił się. Miss Grace spoglądała na niego z niepokojem, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć.

— Czy umie pani być szczerą, miss Grace? Nawet wobec mnie? — zapytał nagle.

— Owszem umiem nią być, a nawet staram się o to! — odparła zdziwiona.

— Czy mnie pani lubi? — przechylił się w jej stronę i nieomal trwożnym wzrokiem obserwował wyraz jej twarzy.

— Bardzo dużo czuję dla milorda przywiązania, wdzięczności i szacunku — odrzekła, patrząc mu w oczy swemi wielkiemi, jasnemi oczami. Był pan tak dobrym dla mego ojca i dla mnie, pozwolił pan mi skończyć szkołę pielęgniarską, a przez to znaleźć własny kawałek chleba...

— Widzi pani, i ja będę szczery tak, jak nigdy nim dotychczas nie byłem. Jeszcze do niedawna uważałem, że wdzięczność pani dla mnie jest uczuciem zupełnie zrozumiałem i właściwem. Przypominałem sobie te kilkadziesiąt funtów, które wydałem na kształcenie pani i zdawało mi się, że to obowiązuje. Ale tak nie jest: pani jest bogatszą ode mnie, bo pani uczucie jest szczere, prawdziwe, szlachetne, a moje funty były kiepskim zadrukowanym papierem, nie mającym żadnej wartości w życiu. Wartość ich zaczynała się od banków i giełdy, ale nie będą mi one policzone na dobro, bo je dałem, ot tak sobie, nie czując nic więcej jak to, że wypada je dać...

Nastała przykra chwila milczenia.

— Szkoda! Myślałam, że milord był mi życzliwy! — Grace opuściła jakby zawstydzona swemi słowami, a może słowami lorda? — głowę.

— Ma pani rację, miss Grace. Szkoda, wielka szkoda! Piękne uczucie nie doszło do skutku. Tak, chciałem z panią pomówić o różnych rzeczach. Jestem stary i przeżyty, życie moje wnet się skończy... Gdy tak siedziałem wczoraj przy tem oknie, zdałem sobie sprawę z tego, że śmierć moja nikogo nie wzruszy. I to mnie właśnie dręczy. Odejdę jak cień. Dopiero teraz widzę, że nikomu nie okazałem serca. Rozumie pani? Serca! Co innego dać, a co innego odczuć.

Znów lord urwał. Nerwowo ściągnął pled, jakby mu było zimno. Śledził oczami szczyty dachów widniejących zdaleka i obserwował jak dym unosił się szaroniebieskawym pióropuszem ku niebu. Nagle spojrzał na pielęgniarkę.

— Nie wiem czy jest to słabość chorego człowieka, czy też każdy inny odczuwał by to, co ja, ale przygnębia mnie myśl, że niczego w życiu nie uczyniłem z serca, że nigdy nie dałem się porwać temu szaleństwu, które się zowie — dobrocią... I te kilka funtów, które poświęciłem na pani kształcenie, jakąże by radość one mi uczyniły gdyby były dane życzliwie! Powiem pani szczerze, że byłoby dla mnie wielką pociechą gdybym wiedział, że chociaż pani, miss Grace, uważa mnie za dobrego choć zbłąkanego człowieka! Widzi pani, świat skurczył się do tego pokoju, do codziennego „Timesa", do Hobsona i do pani. Odchodząc stąd chciałbym zabrać w pamięci pani uśmiech, dobry, przebaczający, który będzie dla mnie królewskim darem...

— Tak, milordzie, uważam pana za człowieka dobrego, chociaż zbłąkanego. Wielkie bogactwo i wielka nędza czynią nas obojętnymi na wiele pięknych rzeczy. Dopiero

wyglądało to raczej na spełnianie jakiegoś ceremonjału, niż na pielęgnowanie chorego.

— Czy Wasza Miłość nie potrzebuje czego? — zapytał służący.

Lord Carborough spojrzał nań badawczo.

— Może on mi jest życzliwy — pomyślał. Tak przynajmniej na to wskazuje jego zafrasowany wygląd! Ale i to może tylko złudzenie... Od trzydziestu lat płacę go dobrze, kupił sobie niedawno dom na przedmieściu... Interes, tylko interes!

— Dziękuję ci — odparł Cedryk — chwilowo niczego. Kiedy przyjdzie dr Dunduff?

— Mówił, milordzie, że wstąpi tu o godzinie piątej. Polecił mojej córce, aby dała Waszej Mości o czwartej te krople w mleku! Ona zaraz przyjdzie...

Popatrzył na swego pana, poprawił pled na jego kolanach i wyszedł, jakby zakłopotany swoją rolą w pokoju chorego.

Grace, córka Jakóba była z zawodu pielęgniarką. Ta piękna, zdrowa dziewczyna, z dziwną cierpliwością i oddaniem spełniała swój ciężki zawód. Jej jasne niebieskie oczy zawsze były uśmiechnięte i zawsze życzliwie spoglądały na cierpiących. Jędrna, nieco prosta uroda pielęgniarki, dziwnie kontrastowała z subtelnością jej uśmiechu, z łagodnością ruchów i delikatnością odezwania się.

Myśl o przyjściu Grace ożywiła nieco lorda, który nikogo od długiego czasu nie widywał, stosując się do zakazu lekarza. Była to jedyna osoba, z którą mógł nieco pogawędzić, a towarzystwo tej przystojnej, cichej dziewczyny wpływało na niego nieomal kojąco. Już dawno zastanawiał się nad tem, jakie jest właściwie uczucie jej dla swego chlebodawcy i dobroczyńcy. Żywił ukryte w duszy życzenie, aby piękna Grace spełniała swe obowiązki nietylko z zawodowego nakazu, ale również z głębokiej sympatji. Nie chciał żądać wdzięczności za to, że łożył na jej wykształcenie, ale zdawało mu się naturalnem, żeby ona była odpłatą za to dobrodziejstwo. Zdawało mu się jednak, że miss Grace, jak wszyscy inni ludzie, choroba kazała panu zastanowić się nad wieloma rzeczami. Ale nie pańska w tem wina...

Lord podał jej milcząco rękę zatrzymując długo jej drobną dłoń.

— — — — — — — — —

W kilka dni po tej rozmowie stan lorda pogorszył się znacznie. Mimo wszelkich możliwych zabiegów celem utrzymania lorda Cedryka przy życiu, organizm musiał ulec chorobie. Pewnego poranku nastąpiła agonja. Lord umierał przytomny, spokojny, tak, jak żył.

Gdy w kilka dni po pogrzebie przystąpiono do otwarcia testamentu, w dużym gabinecie lorda znalazło się jego najbliższe otoczenie: doradca prawny mr. Phibbs, zarządca jego majątków mr. Anthony Gardner, stary Jakób i jego córka, miss Grace.

Testament zmarłego brzmiał:

„Niżej podpisany chory na ciele, ale zdrowy na umyśle, postanawia co następuje: skoro stwierdziłem przez całe moje życie, że pieniądz użyty jedynie na własne potrzeby i rozrywki chybia celu nie przynosząc nikomu pożytku, a właścicielowi nie daje żadnej satysfakcji, a nawet pozostawia wyrzut sumienia, postanawiam niniejszem, że cały mój majątek, którego wyszczególnienie znajduje się w allegacie, ma posłużyć na stworzenie fundacji dobroczynnej dla młodzieży pozbawionej środków utrzymania. Szczegóły odnoszące się do stworzenia fundacji wyszczególnione są na osobnej kartce. Niniejszem zaś ustanawiam pielęgniarkę miss Grace Hobson kuratorką fundacji i chcę, aby mój doradca prawny mr. Phibbs, służył jej pomocą równie życzliwie, jak to czynił wobec mnie. Poza tem proszę o wypłacenie wyszczególnionych legatów. Niechaj fundacja, którą ustanawiam otrze łzę tym wszystkim, którym nie umiałem za życia być pomocnym".

W ten sposób Londyn otrzymał największą fundację dobroczynną, znaną pod nazwą „Carborough-Funds".

Laureaci nagrody artystycznej Poznania

Arkady Fiedler.

Arkady Fiedler odziedziczył po ojcu zdolności literackie i warsztat przemysłowy. Pierwsze kochał, o drugiem mało myślał. W r. 1928 zaskoczył wszystkich niespodziewanem porzuceniem Poznania i wyjazdem do Brazylji. Stamtąd powrócił z wspaniałym zbiorem okazów, liczącym około 7.000 sztuk. Wśród przeszło 1.150 ptaków było 160 rzadkich okazów rodziny kolibrów, pozatem ssaki, chrząszcze i motyle. Fiedler ofiarował to bezinteresownie Muzeum Wielkopolskiemu, a równocześnie Ogrodowi Zoologicznemu w Poznaniu przywiózł 20 sympatycznych żywych zwierzątek. Bo Fiedler, tęskniący do włóczęgi po dalekich szlakach, kocha rodzinny Poznań, jego kulturę i pragnie zawsze wzbogacić zbiory. Z drugiej wędrówki do Brazylji przywiózł 5.000 nowych okazów, które rozdzielił pomiędzy Poznań i Państwowe Muzeum Zoologiczne w Warszawie.

Fiedler, jeden z czołowych dziś polskich podróżników, silnie związany jest z ziemią rodzinną. Był jednym z głównych organizatorów powstania Wielkopolski, wybitnym bojowcem niepodległości. On to zwerbował do armji ochotniczej kilka tysięcy żołnierzy, którzy stali się centralną siłą bojową Poznania i przed nimi skapitulowały ówczesne władze pruskie.

Fiedler jest niesłychanie skromny, cichy, spokojny, jakby zadumany i zamknięty w sobie. Ale dla drugich ma serce na dłoni. Jest wzorem uczciwości i pracowitości.



Prof. Jan Wroniecki.



Arkady Fiedler.

Jest on świetnym pisarzem. Zasłużenie otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania. O jego książkach wspominam osobno. Tu trzeba było powiedzieć kilka słów o Fiedlerze-człowieku.

s. w. b. (Kraków).



Prof. Jan Wroniecki — „Motyw z Krzemieńca", rysunek piórkiem.



Na prawo: Prof. Jan Wroniecki — „Fragment portu gdyńskiego" kredka (z teki „Gdynia").

Prof. Jan Wroniecki.

Niedawno widzieliśmy się. Wroniecki przyjechał wtedy, by zachwycić się starym Krakowem. Lata nie zmieniły profesora: szpakowaty, o wyrazistej twarzy. Żywy. Twierdzi, ale nie usiłuje przekonać. Ma jasny sąd o rzeczach, używa niezaprzeczenie uczciwych argumentów dla poparcia swej tezy. To jeden z wielu powodów, dla których jest pierwszorzędnym pedagogiem. Mówił o swych odkryciach i przeżyciach artystycznych w Krakowie z entuzjazmem, werwą, przekonaniem — niemal gwałtownie. Odkrywał przed oczami słuchacza nowe prawdy, ale nie zmuszał go do patrzenia na nie pod swoim kątem widzenia.

Zawsze szczery. Wielki talent. Wspaniały człowiek. Jego prace, pozbawione blagi i tanich smaczków — są rzetelnie obmyślane. Czarujący artysta, przemiły towarzysz.

Grafika prof. Wronieckiego, te czarno-białe dzieła przynoszą zawsze coś nowego, zajmują fakturą, pozwalają odczuć kolor i nasilenie barwy. Grafika ta zachwyca i ujmuje. Była ona też wyróżniana i odznaczana medalami wiele razy w Polsce i zagranicą.

Prof. Wroniecki, który ukończył swe studja w Berlinie, od r. 1919 jest profesorem w Poznańskiej Szkole Sztuk Zdobniczych, gdzie prowadzi od początku dział grafiki. Wronieckiego zaliczyć należy, dzięki jego wielkiemu talentowi, umiejętnościom z zakresu technik graficznych i zdolnościom pedagogicznym, do najzdolniejszych pedagogów-artystów.

Gdy ostatnio widziałem się z Wronieckim, opowiadał on wiele o swym serdecznym przyjacielu A. Fiedlerze. Mówił z entuzjazmem o jego pracy i cieszył się jego szczęśliwemi pociągnięciami życiowemi. — Nie wspomniał tylko nic o swych pracach ostatnich, które zadecydowały o wyroku jury, które przyznało mu nagrodę artystyczną miasta Poznania.

j. m. b. (Kraków).



Na prawo: Prof. Jan Wroniecki — „Port w Gdyni", rysunek tuszem (z teki „Gdynia").

OD WSKAZÓWKI SŁONECZNEJ DO ELEKTRYCZNEGO ZEGARA



Na lewo: Klepsydra-piasecznica.

Spopularyzowanie zegarów doszło w ostatnich czasach do możliwego zapewne maksimum. Doba w XX wieku dzieli się na 1440 minut a bodaj nawet na 88.400 kosztownych i szybkich sekund, a nie jak to bywało za zamierzchłych wieków — na dzień i noc, czy później na noc i trzy pory dnia. Współczesnemu człowiekowi śpieszy się, boi się utracić choćby paru sekund. Całe jego życie zostało ujęte między tryby zegaru i zmieszczone pomiędzy linijkami znaczącemi minuty. Tem też można wytłumaczyć olbrzymie wprost zapotrzebowanie na zegary, a temsamem wzmożoną produkcję taśmową, która zkolei znowu potaniała wyrób i udostępniła dobry i precyzyjny zegarek najszerszemu ogółowi.

O ilości sprzedawanych zegarów najrozmaitszego typu może dać wyobrażenie statystyka, która mówi, że już w r. 1893 same tylko fabryki szwajcarskie — zajmujące się produkcją czasomierzy — sprzedały ich za sumę 85.370.000 przedwojennych, wysokowartościowych franków.

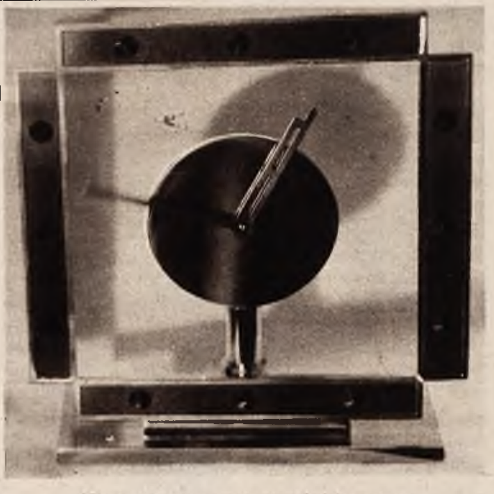
Ostatnie czasy nie przynoszą prawie żadnych zmian w fabrykacji zegarów wahadłowych, czy sprężynowych. Poza rozmaitemi schematami, konstrukcjami i niebywałą wprost precyzją, kryje się wciąż pomysł Piotra Henleina z Norymbergi, który pierwszy— około r. 1500 zastosował przy budowie mechanizmu zegarowego zamiast wag — równomiernie rozkręcającej się sprężyny. Tenże Piotr Henlein wykonał pierwszy zegarek kieszonkowy i zajął się jego produkcją. Zegarki Henleina przyjęły się nader szybko i nazwane zostały dla swego pierwotnego kształtu — „jajkami norymberskiemi".

W półtora wieku po wynalazku Henleina i skonstruowaniu przez niego pierwszego zegarka kieszonkowego przychodzi Hygens — doskonały holenderski inżynier, który w r. 1674 wbudowuje do mechanizmu Henleina małe kółko z sprężynką spiralną — t. zw. „balans" — mający zastąpić w zegarkach kieszonkowych wahadło. Tym szczegółem Holender udoskonala ostatecznie konstrukcję zegara i dokładność jego działania.

Pierwszy zegar wagowy przywieziony został do Europy ok. r. 1170, jako dar sułtana Egiptu i Syrji, Saladyna — sławnego z trzeciej wyprawy krzyżowej dla — cesarza niemieckiego Fryderyka I. Zegar ten kosztował zawrotną sumę i był rzeczywiście królewskim darem.

Na wzór zegaru Saladyna wybudowano następnie w Europie wiele zegarów, które miały służyć mieszkańcom miast. Wynalazek czasomierzu był bardzo potrzebny, a zastosowanie podówczas już olbrzymie, więc pomimo wysokich kosztów budowano je masowo. W wieku XIV zegary wagowe są już powszechnie znane w Europie.

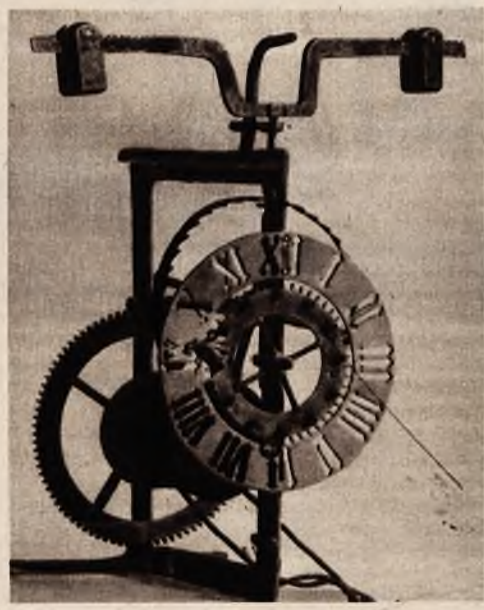
Zczasem przychodzą ulepszenia. I tak wspomniany wyżej Huygens w r. 1657 buduje pierwszy zegar z wahadłem, które zresztą było pomysłem Galileusza. W następnych latach zjawiają się nowi konstruktorzy i zegarmistrze wprowadzający dalsze ulepszenia czasomierzy, jak Clemont, Graham, a przedewszystkiem Harrison, który w r. 1764 uzyskuje wielką nagrodę wyznaczoną przez parlament angielski za udoskonalenie zegaru.



Nowoczesny zegar elektryczny



Słoneczny zegar wyposażony w małą armatkę, której lont zapalają rzucone przez słońce promienie punktualnie o 12 w południe.



Jeden z najstarszych zegarów wagowych niemieckich z 1390 r.

Zanim jednak sułtan Saladyn ofiarował kosztowny i jakże cenny dar — zegar przeszedł przez okres tysiącleci olbrzymią drogę i szereg ewolucyj, które pozwoliły najstarszemu zegarowi słonecznemu zamienić się zczasem na platynowy zegarek — bransoletkę wysadzaną brylantami, na ręku pani odbywającej podróż samolotem.

Jednym z najstarszych sposobów, które pozwalały starożytnym orjentować się w czasie — było spojrzenie ku słońcu, które w codziennej wędrówce położeniem swem mówiło o godzinie. Był to sposób bardzo prymitywny, niedokładny. Ludzie uznali, że zbyt trudno jest się orjentować według płonącej na niebie kuli i ułatwili sobie mierzenie czasu.

W Grecji popularnem było proste urządzenie, polegające na tem, że na obszernym placu wbijano wysoki pal do ziemi. Słup ten, rzucający na ziemię cień, był pierwszym zegarem skonstruowanym przez człowieka. Aby dowiedzieć się, która godzina, trzeba było zmierzyć krokami cień słupa. Ilość kroków odpowiadała godzinie. Łatwo sobie można wyobrazić sprzeczkę dwojga ludzi różnego wzrostu, którzy umówili się o pewnej godzinie. Dla niskiego mogła być już dajmy nato szósta, dla kogoś drugiego stawiającego większe kroki była dopiero piąta.

W Indjach używano przed wiekami innego zegaru słonecznego. Był to pręt, obrobiony w ośmioboczną pałeczką, w której bokach umieszczone były patyczki. Cień, który padał od poprzecznego patyczka na ponacinany bok pałeczki wskazywał godzinę, a raczej porę dnia. Pozostałe siedm boków pałeczki były również ponacinane i służyły do ustalania godziny w różnych porach roku, kiedy słońce znajduje się w innem położeniu.

Powszechnie znany u nas w Europie i często do niedawna stosowany zegar słoneczny, składający się z tarczy podzielonej kreskami i oznaczonej liczbami, które kolejno podczas słonecznego dnia wskazuje cień metalowego prętu umieszczonego w środku tarczy — jest pochodzenia babilońskiego.

Słoneczny zegar babiloński jako „ostatnie słowo" w zakresie tego typu zagarów, zamyka okres czasomierzy uzależnionych od słońca i mieczynnych w nocy.

Zkolei powstaje t. zw. zegar wodny. Był on w początkach bardzo prymitywny. Składał się z naczynia zaopatrzonego na dnie w maleńki otwór i... wody. Codzień o wschodzie słońca specjalny strażnik napełniał naczynie wodą, która podczas dnia wysączała się przez otwór. Naczynie napełniano kilka razy w dzień i w nocy i za każdym razem, gdy dolewano wody oznajmiali gońcy wszem wobec, że minęła ta i ta godzina.

Zegar wodny opisanego powyżej typu był wielkim krokiem naprzód w dziedzinie rozwoju czasomierzy. Następnym znanym zegarem wodnym był wynalazek polegający na tem, że woda poruszała wskazówkę zegara.

Konstrukcja wspomnianego zegaru była nader prosta. Czasomierz składał się z drążka ponacinanego i oznaczonego liczbami, który umocowany był pionowo. Po obu jego stronach znajdowały się figurki chłopców. Jeden z nich trzymał w ręku laseczkę i podnosząc się na swej podstawie coraz wyżej wskazywał godzinę. Drugi chłopiec, stojąc nieruchomo — płakał. Woda wyciekająca z oczu kukły — wpływała do basenu z wodą, na powierzchni której pływał korek-podstawa, na której wspierała się lalka wskazująca godzinę. W miarę jak wody przybywało w basenie unosił się ku górze korek, a wraz z nim chłopiec wskazujący na pionowym słupku z nacięciami — godzinę. Gdy woda dochodziła do najwyższego poziomu, otwierał się otwór na dnie i woda uciekała z basenu, a laleczka opadała wdół. Aby ten zegar funkcjonował potrzebny był tylko stały dopływ wody. ***Dokończeni na str. 31***

ZABAWA NA ŚNIEGU...

Fot. Schostal — Wiedeń.



LORD • SHOCKING



Król Edward VIII i p. Simpson podczas przejażdżki łodzią motorową na morzu Adrjatyckiem, r. 1935.



Książe szwedzki, Bertil, z żoną w swojem mieszkaniu berlińskiem.

Gdyby ktoś chciał się w codziennych zjawiskach dopatrywać wielkich symboli zwalczających się współczesnych prądów, powiedziałby, że konflikt małżeński króla Edwarda VIII. z angielskim rządem i parlamentem jest właśnie takim symbolem. „Wczoraj" stanęło oko w oko z „dziś" i walczy o... jutro! Tradycja, udrapowana w płaszcz z gronostajów, z koroną angielskiego lorda na głowie, walczy z zwykłą szarą marynarką „obywatela". Serce stanęło w opozycji wobec rozumu i rutyny. — A najtragiczniejszem w tem wszystkiem jest właśnie to, że tym opozycjonistą jest... król, źródło tradycji, „fons omnium honorum", jak określają go dawni kronikarze.

Ale trudno! Żaden król nie jest na tyle królem, aby też nie był... człowiekiem! Infantka Eulalja, ciotka króla Alfonsa XIII. napisała przed wojną światową pamiętniki pod tytułem: „J'ai voulu vivre ma vie", — „Chciałam użyć mego życia". Ten rozpaczliwy okrzyk, osoby związanej etykietą, obowiązkami wobec dynastji i państwa, snać dobywa się również z serca Edwarda VIII.

Lecz nie pierwszy Edward VIII. się buntuje!

Ileż skandali, ileż przesileń wydarzyło się już przez drobną filigranową kobietę! Historycy i psycholodzy twierdzą nawet, że im drobniejsza jest rączka kobiety tem umie być energiczniejszą. Wiemy, jakie echo znalazł ślub Zygmunta Augusta z Barbarą Gasztołdową, z domu Radziwiłłówną, i jakie sprężyny poruszono, aby małżeństwo to uniemożliwić. Twierdzą niektórzy, że królowa-matka, Bona Sforza, użyła popularnego w jej ojczyźnie naówczas środka pozbywania się rywali — trucizny. Dzisiaj historycy wykazali bezpodstawność tego twierdzenia. Ale nie dziwmy się Bonie: jako osoba wychowana w atmosferze polityki i interesu państwowego, „raison d'état" myślała tylko o jednem: o potomku Jagiellonów, któryby po śmierci jej syna wstąpił na tron i poprowadził nawę państwową ku dalszej chwale i potędze. Bo dynastje nie myślą kategorjami szarego człowieka, nie zastanawiają się nad szczegółami, zbyt wielkie interesy są w grze i o zbyt wielkie rzeczy tu idzie. Dynastje myślą kategorjami stuleci, epok. „Nie będę ja, to będziesz ty lub twój wnuk" — mówią sobie i przygotowują na całe wieki naprzód grunt pod przyszłą wielkość.

Po dłuższej walce rozumu z sercem przyznać musimy, że Zygmunt August postąpił samolubnie i niemądrze: gdyby był wybrał księżniczkę z domu panującego i miał potomka, historja Polski zapewne innemi poszłaby torami. Ale nie każdego stać na rozważania historyczne, nie każdy umie być tylko kronikarzem. Przeważnie nawet królowie są tylko ludźmi, odczuwającymi dobre i złe strony życia i chcącemi żyć, jak wszyscy inni. W ślady romantycznego Zygmunta Augusta poszedł Jan Sobieski. Nie mógł wprawdzie wiedzieć, żeniąc się z wdową po Tomaszu Zamoyskim, że zostanie królem, ale jakże inaczej wyglądałyby nasze dzieje, gdyby synowie jego inną miały matkę! Sceptyk mógłby temu rozumowaniu zarzucić, że nie wiadomo, czyby Jan III. miał z innego małżeństwa dzieci! Zapewne, ale trzeba było stworzyć najlepsze warunki dla przyszłej dynastji.

Ostatnie czasy pełne były konfliktów dworskich na tle mezaljansów. Celują w tem oczywiście Habsburgowie, stanowiący dziwne przeciwieństwo ścisłej logiki i spokojnej rozwagi oraz romatycznych porywów i nieokiełznanych szaleństw. Tą ostatnią drogą poszedł arcyksiążę Jan Salwator, znany pod nazwiskiem Jana Ortha, żonaty z Marją Stübel, królowa Luiza saska, z domu austrjacka arcyksiężniczka, która porzuciwszy męża wyszła zamąż w r. 1907 za włoskiego śpiewaka Enrico Toselli i żyje dotąd jako hr. Montignoso w Brukseli, wkońcu arcyks. Elżbieta, wnuczka Franciszka Józefa, która rozwiódłszy się z pierwszym mężem ks. Ottonem Windischgraetz, wyszła zamąż za drobnego rolnika zpod Wiednia. Największe echo oczywiście miał mezaljans arcyks. Franciszka Ferdynanda, ożenionego z Zofją hr. Chotek von Chotkowa und Wognin, mianowanej następnie księżną von Hohenberg. I tu zachodziła kwestja następstwa tronu. Wkońcu zdecydowano, iż ks. Hohenberg nie będzie cesarzową Austrji, pozostając morganatyczną żoną cesarza, chociaż sądzono, że Franciszek Ferdynand nie zgodzi się, zostawszy monarchą, na to skromne stanowisko żony. Ostatnie czasy dostarczyły nowego mezaljansu w szwedzkim domu panującym: oto wnuk króla Gustawa V, książę Sigvard szwedzki, drugi syn następcy tronu, ożenił się z berlińską aktorką filmową panną Patzek i zrezygnował z wszelkich przywilejów członka domu panującego, poświęcając się karjerze filmowej.

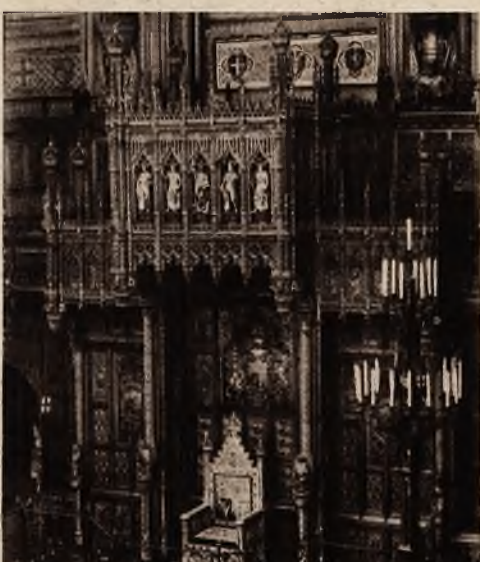
Ogół ludzi z pobłażaniem mówi o tych, zdawałoby się, przeżytkach średniowiecza, nie wnikając w logikę tradycji, uświęcającej rygory „antymezaljansowe". Powodem ustalenia się pojęcia małżeństwa morganatycznego jest okoliczność, że małżeństwo było w przeszłości i pozostało po dziś dzień, ważnym atutem politycznym, wejście więc do domu panującego „outsidera" jest niepożądane, bo nie przynosi korzyści państwu a najwyżej osobie panującego. Ale o niego przecież nie chodzi wcale... Przez małżeństwa państwa zdobywały całe króle-

stwa: Austrja panowanie nad Węgrami, Czechami, Niderlandami, Polska zyskała Litwę przez ślub Jagiełły z królową Jadwigą, Hiszpanja tylko dzięki małżeństwu Ferdynanda aragońskiego z Izabellą kastylską zrosła się w jedno wielkie państwo. Nie chodziło tu o „mezaljans" w znaczeniu potocznego życia burżuazyjnego, ale o skutki polityczne, zewnętrzne i wewnętrzne. Jest natomiast ciekawą rzeczą, że również wszystkie rodziny, które niegdyś panowały w Rzeszy niemieckiej, a które pozbawione suwerenności – zostały medjatyzowane, czyli poddane pod bezpośrednie panowanie innego państwa, zachowały do r. 1918 prawa równorzędności z domami panującemi. Takich rodzin pozbawionych panowania bądź przez zabór lewego brzegu Renu przez Napoleona I. w r. 1804, bądź też przez późniejsze uchwały, było bardzo wiele. Niektórzy panowali dawniej nad dużemi terytorjami, inni nad ziemiami, które nie dorównują nawet większym majątkom polskich rodzin. Ci wszyscy książęta Hohenlohe, Salm, Solms, Bentheim, Lobkowitz, Schwarzenberg, Sayn, Leiningen, Castell, Metternich, Schönburg itd., jak również hrabiowie Schönborn, Törring, Waldbott, Wurmbrand, Ortenburg, Pappenheim itd. to dawni suwereni Rzeszy niemieckiej, równi urodzeniem „ebenbürtig" domom panującym.

A jakżesz sprawa przedstawiała się w Anglji? Otóż właściwie pojęcie mezaljansu nie istniało w prawie angielskiem, a wyrobiło się dopiero zwyczajowo od dwustu lat. Zarówno król Henryk VIII. żonaty był kilkakrotnie, poza Katarzyną aragońską, z pannami, pochodzącemi jedynie z arystokracji angielskiej, jak Seymour, Boleyn, Howard itd., jak również Ryszard III. wziął za żonę Annę of Warwick, podobnie zresztą jak Edward IV. żonaty z wdową Elżbietą Woodville. Zasadniczo więc nie stoi nic na przeszkodzie, aby Edward VIII. zaślubił panią Simpson! W r. 1772 wydano, inspirowany przez Jerzego III., „Royal Marriage Act", który postanawia, że małżeństwo każdego członka rodziny królewskiej podlega aprobacie króla, natomiast małżeństwo króla samego poddane jest jedynie jego woli i... opinji! Dziwnym zbiegiem okoliczności wspomniany „Royal Marriage Act" jest zredagowany dziwnie demokratycznie i nie stawia królowi żadnych ograniczeń. Jest to zresztą charakterystyczne dla Anglji, gdzie nie pisane słowo a opinja i zdrowy rozsądek, liczący się z konkretnym wypadkiem, decyduje o wielu rzeczach. Jedynie małżeństwo króla z katoliczką zabronione jest owym edyktem. Jeżeli chodzi o rodzinę pani Wallis Simpson, z domu Warfield, to nie nastręcza ona bynajmniej więcej zastrzeżeń niż rodziny żon np. Henryka VIII. Warfieldowie to stara angielska szlachta, przybyła do Anglji z Wilhelmem Zdobywcą w r. 1066, której przodek Pagan odznaczył się w bitwie pod Hastings i otrzymał część lasów Windsoru od króla. Jeden z jego potomków, Ryszard emigruje w r. 1662 do Ameryki, do prowincji Maryland i staje się właścicielem dóbr nad rzeką Severn. Potomek jego wygłosił podczas rewolucji amerykańskiej przeciwko Anglikom zdanie: „Nie będziemy więcej tolerować królów"! Niemniej z starej rodziny, Montague, pochodzi matka pani



Powyżej: Król Jerzy IV. z dynastji brunszwickiej, mąż pięknej mrs. Fitzherbert.



Na lewo: Tron królewski w Izbie Lordów jest wspaniałem gotyckiem krzesłem, bogato ozdobionem herbowemi haftami.





Od lewej: Marja hr. Waldegrave, małżonka morganatyczna ks. of Gloucester; portret Reynoldsa. – Mrs. Anna Horton, małżonka ks. of Cumberland.

Simpson, osiedlonej w stanie Virginia. Rodzina pani Simpson nie należała do klanu miljarderów: matka jej po śmierci męża Teackle Warfield'a utrzymuje przez kilka lat pensjonat, a dopiero drugie małżeństwo z Johnem Freeman Rasin daje jej większy majątek. Piękna miss Warfield wychodzi dwukrotnie zamąż: najprzód za pilota Earl'a Winfield Spencer, drugi raz za Ernesta A. Simpson, z którym rok temu podobno na życzenie króla, się rozwiodła.

„Lekkomyślne" projekty małżeńskie Edwarda VIII. przypominają podobne epizody z życia jego brunszwickich przodków, zprzed epoki wiktorjańskiej: Jerzy IV. żeni się jeszcze za życia królowej z piękną miss Fitzherbert, popełniając w ten sposób bigamję, a brat Jerzego III., ks. Cumberland z wdową Horton, co powoduje jego wygnanie z dworu. Drugi brat Jerzego III., ks. Gloucester żeni się z owdowiałą w r. 1766 hrabiną of Waldegrave, nieślubną córką Earl'a of Orford, co również powoduje wielkie komplikacje. Dopiero od czasów Wiktorji dom królewski zyskuje sympatje dzięki swym „burżuazyjnym" cnotom rodzinnym. Nieodrodnym jej wnukiem jest Jerzy V, gdy natomiast syn jego zdradza znów skłonności brunszwickie! Lecz jak na dzisiejszą Anglję jest to zbyt wielki „shocking", aby go mogła łatwo królowi wybaczyć... Mówią, że Edward VIII. z króla stał się wielkim przemysłowcem: ze wszystkich Anglików nawarzył on bowiem najwięcej piwa!

Jan Maleszewski.



Na lewo: Podczas przyjęcia w ogrodach pałacu Buckingham, król przyjmuje ukłon dworski przedstawionych mu pań z towarzystwa londyńskiego.



W kole: Arcyksiążę Jan Salwator przyjął po małżeństwie z Marją Stübel nazwisko Jana Ortha.



ELEANOR • POWELL



TAŃCZĄCA GWIAZDA

Zawrotna karjera Eleanor Powell należy do rzędu typowo amerykańskich rekordów. Jeszcze niedawno temu, nikomu nieznana „bathing-girl“ — jedna z tysiąca — „żołnierzyk“ szarej, tańczącej armji — dziś słynna gwiazda filmowa, błyszcząca blaskiem sławy na obydwóch półkulach świata — Eleanor Powell zachwyca nas niepospolitą maestrją swej sztuki tanecznej.

W życiu jej decyduje przysłowiowy „łut szczęścia“, no i... wytrwałość. W czasie, gdy Eleanor przybyła wraz z matką do Nowego Jorku, była ona tancerką zespołową i akrobatyczną. Po miesiącach wystawania w biurach managerów filmowych zrozumiała, że nie ma żadnych widoków na otrzymanie pracy w filmie, jeśli nie nauczy się modnego stepa. Wyszukała więc nauczyciela i rozpoczęła z nim ćwiczenia. Na wstępie oświadczyła mu, że musi się nauczyć „stepowania“ najwyżej w ciągu dziesięciu lekcyj. Po trzech nabrała przekonania, że chyba nigdy nie potrafi wykonać tego dzikiego tańca. Nie mogła zrozumieć jego ducha i była najgorszą uczenicą w klasie. Dopiero na skutek próśb matki podjęła lekcje na nowo i po sześciu dniach intensywnych ćwiczeń uchwyciła nareszcie to „coś“, co decyduje o charakterze rytmiki stepa. Od tej chwili postępy w nauce rosły w zawrotnem tempie. Po dziesięciu lekcjach Eleanor Powell została zaangażowana do filmu i osiągnęła to, o czem marzyła: sławę i fortunę.

el.

hallo!... hallo!...

czy mówi się dalej?



Prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. Roosevelt (na prawo) w towarzystwie prezydenta Argentyny Vargasa (na lewo), podczas przyjęcia z okazji Kongresu państw południowo-amerykańskich w Buenos Aires. Presse-Photo, Berlin



Dzieci japońskie, przebrane w stroje generalskie i admiralskie, udają się pod opieką swych matek do świątyni, by tam w dniu święta Chichigosan modlić się za pomyślność japońskiego oręża. Fot. Keystone, Berlin.

— Ach, panie Henryku... jak mi żal też biednej królowej Mary. Taki skandal w rodzinie...

— O tak — panno Halino, za to królowa Wilhelmina ma pociechę z dzieci... wydaje swą Juljanę za księcia...

— I proszę pana, co on w tej Simpson widzi, że dobrze gotuje! A mało to jest dziś dziewcząt, a nie rozwódek, które dobrze gotują i z posagiem....

— Obawiam się, że narobi on Anglji porządnego bigosu...

— Panie Henryku... i co będzie?

— Na dwoje babka wróżyła, albo król, albo armja pójdą na urlop...

— To straszne — takie nieszczęście przez jedną kobietę...

— A widzi pani — teraz i dwór angielski ma swoją „białą damę", która straszy.

— Szkoda tylko, że to nie jest „Upiór na sprzedaż"...

— Ktoby tam kupił takiego upiora... ale à propos — właśnie odbyła się w Londynie premjera filmu „Rembrandt"...

— No, aktualniejszy byłby „Henryk VIII"... on też sprawiał Anglji wiele kłopotów swemi małżeństwami...

— Ach, niestety, proszę pani, tylko dziś już nie można ścinać swoich żon...

— Pan jest okrutny...

— Nie, tylko rzeczowy...

— A co słychać w innych częściach świata?

— Prezydent Roosevelt otworzył kongres panamerykański w Buenos Aires...

— A nad czem obraduje ten kongres?

— W Ameryce ma być stworzona taka amerykańska „Liga Narodów"...

— O jej... to w Ameryce też wybuchnie wojna?...

— A u nas w kraju — są jakie dobre wiadomości?

— Tak, król rumuński Karol II przyjeżdża do nas w odwiedziny.

— To źle... Rumuni wzięli nas za żydów...

— Dlaczego panno Halino?

— Nie zna pan przysłowia — jak bida, to do żyda...

— No, nie jest tak źle... Gorzej w Hiszpanji... Tam wogóle tubylcy mają być ewakuowani z granic Hiszpanji!

— Dlaczego?

— Bo przeszkadzają walczącym... Tubylcy często przeszkadzają, są natrętni...

— A co słychać poza tem?

— Generał Franco śpiewa już piosenkę „Za rok, za dzień, za chwilę, Madryt już będzie nasz...".

— A czy znaleziono już testament Zacharowa?

— Jeszcze nie... za to znalazło się wielu jego synów... miał samych synów...

— Nie rozumiem...

— Ależ to takie proste — gdy się rodzą synowie, to wybuchnie wojna...

— A czy myśli pan, że uda się jeszcze długo utrzymać pokój w Europie?

„Trzy minuty — czy mówi się dalej!"

MIKROFON.

Poniżej: Sławny artysta filmowy, Charles Laughton (trzeci od lewej), jego żona Elsa Lanchester i reżyser Aleksander Korda po premjerze filmu „Rembrandt" w Londynie. Fot. Wide World, Londyn.

Poniżej: Król rumuński (w płaszczu orderu Ferdynanda) w towarzystwie swej matki królowej Marji i syna, woj. Michała w czasie odsłonięcia w Bukareszcie pomnika ku czci poległych w wielkiej wojnie. Fot. Wide World, Londyn.







PANIE O KTÓRYCH MÓWI PARYŻ

MAGDA TAGLIAFERO

Pani Tagliafero, urodzona w Brazylji, nosi polskie imię: Magda — jest poddaną francuską, będąc zarazem obywatelką... wielkiego państwa muzyki!

Rasowa uroda najbardziej przypomina w niej rodzinną, a odległą Brazylję. W świecie całym znana jest jako przedstawicielka francuskiej sztuki, no i paryskiej elegancji. Piszemy — w całym świecie, ponieważ podróżuje dużo, a koncertowała już w wielu miastach Europy: w Amsterdamie, Hadze, Budapeszcie, Berlinie, Wiedniu, Oslo, Genewie, a ostatnio w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Łodzi i Poznaniu.

Rozmowa z wielką artystką odbywa się w stylowym salonie, na tle którego odbija jej skromna, czarna suknia, ozdobiona tylko klejnotami. Magda Tagliafero jest cała „nastawiona" na muzykę tak, że trudno z nią mówić o czem innem.

Podbijać coraz to inną publiczność! — oto zadanie, pasjonujące każdego artystę. Zależy to jednak nietylko od wykonawcy, ale i od atmosfery sali, od samej publiczności. Taka sytuacja emocjonuje każdorazowo człowieka, tembardziej artystkę — jeszcze bardziej, gdy tą artystką jest Brazylijka...

— ?....?

— Mój kraj rodzinny opuściłam, mając lat trzynaście. Dzieciństwo przeżyłam wśród bajecznej, dziewiczej przyrody. Lubiłam wówczas wspinać się na drzewa i marzyć siedząc na gałęzi.... Ten okres zostawił ślad w mej duszy na całe życie! Ludzie dziwią się mej nostalgji i różnorodności aspiracyj: to ciągły powrót do ojczyzny, poprzez muzykę.

Dziwnie odbiegła teraz zewnętrznie moja rozmówczyni od tych puszczy brazylijskich. Zapewnie nie marzyła wtedy o swem życiu paryskiem mała Magda w Petropolis. Mając lat trzynaście, otrzymała na konkursie w konserwatorjum paryskiem pierwszą nagrodę, wyprzedzając siedemnastu innych odznaczonych. Już wówczas jej repertuar był wszechstronny. Grawitował raz do klasyków, to znów do muzyki nowoczesnej, której dziś jest artystka świetną odtwórczynią.

— To tak trudne — mówi nam z prostotą. — Bo muzyka nowoczesna interesuje tylko wybranych. I dlatego artystka, wierna swemu programowi nowoczesnemu, musi narzucić go publiczności, a nie iść na kompromis. Uczciwość w muzyce nie może różnić się od tej z życia codziennego. Ta uczciwość prowadzi artystę najdalej.

— ....!?

— Mówić o sobie samej? Ja tak przecież mało znaczę! To tylko moja gra, mój talent...

— Czy muzyka jest wyłącznym przejawem pani życia?

— Nie! Życie, przedewszystkiem ż y c i e! Uwielbiam je ponad muzykę, ponad wszystko! W muzyce... życia jest zawsze koncept jakiś, spuecjalny dla każdego! Uwielbiam życie i chyba dlatego tyle życia znajdują amatorzy w mej grze!

Ruchem ręki wskazuję jej suknię... Ona uśmiecha się:

— Oczywiście, lubię być dobrze ubrana. To łączy się z mym pojęciem wszechstronnego życia i współpracy nad pięknością życia. Artystka szczególniej winna dbać o swą powierzchowność, winna to swej publiczności...

Tu uśmiecha się złośliwie:

— Jeśli publiczność nie zachowa wrażenia z koncertu, może pocieszy się przynajmniej wspomnieniem sukni... Suknia winna zresztą współdziałać w wytworzeniu atmosfery. Nie znaczy to, że przebieram się w ciągu wieczoru parę razy!...

— Kobieta nowoczesna, Paryżanka, kochająca życie nadewszystko, musi uprawiać sporty, nieprawdaż?

— Tak! Biję rekordy... gry fortepianowej! Ale korzystam z chwil wolnych, by pływać i grać w golfa. W golfie też pobijałam rekordy, zdobywałam puhary...

Z rozmowy tej nie wynika jeszcze, dlaczego Magdę Tagliafero zwą też „królową dobroci". Bo o tem nie mówi się głośno... Uprawia ona jeszcze jeden „sport", dziś zapomniany, pogardzony, unikany: „sport dobroci". Gotowa jest każdej chwili do niesienia pomocy, służenia oparciem młodym i wybijającym się, a potrzebującym pomocy artystom (nawet pianistom).

— To dziś tak rzadkie, zwłaszcza u artystów — robię aluzję.

— To kwestja odczucia... Czy w tem jest coś nadzwyczajnego? Causes justes sont toujours bonnes, n'est-ce pas?

Jakżeż daleką jest Magda Tagliafero w tych słowach od Paryża, jak blisko dziewiczej natury, nasuwającej myśli proste, sprawiedliwe, szlachetne...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

›CIOTKA‹ OPOWIADANIE MYŚLIWSKIE

Już na wiele lat przed powstaniem opowiadania o „Ciotce" niezbadana koleina losu musiała się dobrze napracować, ażeby zdobyć ten mise en scene swoisty.

Najpierw musiał Przedwieczny natchnąć Pana Wincentego Dzięcioła do oddania syna swego Antoniego do szkoły technicznej, by ten mógł kiedyś stać się dzielnym meljorantem, musiała mu potem Nemezis wyszukać stanowisko na Kresach, a równocześnie do tego wydarzenia w dalekim ostępie stworzyć „Ciotkę".

W dwóch tak różnych środowiskach powstałe istoty, sobie niepodobne i różne, miały stworzyć dramat bardzo swoisty, musiały wpleść w orbitę wypadków ludzi postronnych, jak gdyby statystów, którzy ukazują się na krótko, wypowiadają swoje nieskomplikowane kwestje na arenie życia, niemniej jednak stwarzają całość akcji, którą teraz ty Czytelniku, podziwiać możesz.

Gdybyśmy zechcieli przeprowadzić analizę psychologiczną wszystkich istot, występujących w tem opowiadaniu, musielibyśmy Pana Antoniego Dzięcioła określić jako łagodny typ nieśmiałego piknika, „Ciotkę" jako istotę zwierzęcą z rodziny drapieżnych canidów, obarczoną jednak dziedzicznie nadmiernie wybujałym romantyzmem, a resztę osób twojej ocenie psychologicznej, mój Czytelniku, powierzyć.

Dla uzupełnienia programu tego dramatu, należałoby powiedzieć, że akcja rozgrywać się będzie w podszytej kniei, nad brzegami rzeki, którą zanotowała historja, bo nad Berezyną, że ekranem drugoplanowym będzie niebo lasów kresowych, tak czyste i tak błękitne, jak oczęta dziewcząt tego kraju i śnieg, dużo śniegu, który w takim nadmiarze dając tej ziemi Nieba, wynagrodziły jej w ten sposób brak jaśniejszej doli.



„Ciotkę" znano w okolicy. Wiedziano, że na dalekim mszarnym ostępie wije sobie co lata gniazdo, w którem świątu puszczańskiemu wydaje kilka małych wilczych istotek, znano jej trop niedostrzegalny omal, że latem, a wyraźny na białych poduchach śniegu: znano jej pieśń, pełną radosnej czułości, gdy wzywała latem rozpierzchłe swe maleństwa, pieśń ułożoną z krótkich opusów nawoływania, pełną niepokoju i pełną radości, gdy jej krótkim skowytem odpowiadały małe.

Poznawano ją także po dziełach zniszczenia. Pełzając wpłask na ziemi jak wąż szary, puszysty, sunęła przez ścierniska z tłem pola zretuszona, ku pasącym się stadom wioskowym, a gdy już była blisko, wystarczał jeden sprężysty skok, ażeby dopaść jagnię czy owcę i w skomliwem beczeniu zwierzęcia, nieść je, posuwistym galopem w lasowe podszycie. Znali ją ludzie w Kołońcach, Dziedzinie i Porpliszczu, znali jej trop większy od tropów jej pobratymców, jej zachłanność zaborczą na ciepłe świeże mięso, jej cień, sunący między leśnemi krzami.

Kto i kiedy nazwał ją „Ciotką" — niewiadomo. Pojawiła się nagle już jako wielki wilk-koniarz, buszowała po okolicy nieuchwytna dla tropicieli, odpornna na strzał.

I ponoć straszyła. Gdy raz nocą ze chrzcin organista woroniecki powracał (a chrzciny były rzetelne, trzy razy po wódkę posyłali) objawiła się drzemiącemu w saniach na dwu łapach idąca, wołająca nań głosem ludzkim, jak wcielony wilkołak „Ciotka" wilczyca. Organista trzy dni przeleżał i aż felczera z miasta doń wołali, który, obejrzawszy chorego, doradzał przedewszystkiem żołądek wypompować, ale organista won przegnał eskulapa, twierdząc, iż niesłusznie uczeń hipokratesowy o opilstwo go posądza i że to raczej sprawa duchowna by była, lasy od upiora wyświęcić. Nawet podobno sam pan organista na to wyświęcenie się wybrał, miast egzorcystycznych utensyljów butelkę wódki zabierając, jako najbardziej skuteczną przeciwko upiorom, co spotkało się nietylko z brakiem efektu przeciwko wilkołakowi, ale skończyło się gwałtowną admonicją, którą od swej małżonki otrzymał. Tak więc za złego ducha uchodząc, strach i szkodę siejąc, żyła „Ciotka" w nadherezyńskim ostępie... Gdy pierwszy mróz rolę w grudę pościnał, a z szarego nieba zaczęły na ziemię opadać białe, cichutkie płatki śniegu, „Ciotka" przenosiła się z mokrych ostępów na zimową sadybę w wysoki las. Syta samotnego życia i sielanki macierzyńskiej, zaczęła tęsknić za gromadą i w pierwszych dniach grudnia odnajdywała pobratymców, których grono z dnia na dzień rosło, dochodząc do 5—6 sztuk. Była wśród nich największą, najroślejszą z matek, płaskim szerokim czole, o głębokoo sadzonych jasno-zielonych ślepiach drapieżcy...

I wtedy właśnie zaczęła koncertować.

Wychodziła pod las, gdzie upatrzyła sobie kąt zaciszny, opodal gajówki i łeb wysoko ku gwiazdom podniósłszy, zaczynała swą pieśń, godowy śpiew.

Tych nocy u gajowego Ławryna nie gaszono kopcącej lampki, a kobieta i dzieci długo w noc szeptały modlitwy.

———

Wtedy właśnie na scenę dramatu występuje postać Pana Dzięcioła.

Przyjechał robić pomiary gospodarki leśnej, z centralnych powiatów Królestwa, po raz pierwszy goszcząc na Kresach, nie znając ni ludzi, ni przyrody tego tak odrębnego kraju. Stał przerażony w obecności wyherbowanej dostojności babci Amelji, wyfroterowana podłoga dworu była dla niego niebezpiecznym mieczem Allego, po którym wielokrotnie musiał odbywać każdodzienne przechadzki, bas stryja Stanisława zamącał mu tętno zalęknionego serca, a czuł się dobrze tylko wtedy, gdy mógł uciekać z panem Janowskim, leśniczym do lasu. Pojechali raz lasy oglądać, brnęli drogą po młodniakach, gdy p. Janowski schyla się i pokazuje mu ślad.

— Patrzaj pan, wilki...

— Wilki, o Boże!

— Nie bojsia pan. W dwudziestym roku baba z Karoliszek, co z dzieciukiem w las poszła, na nic zarżnęli.

— Jakto na śmierć?

— Ho, ho tylko łapci i chusta z niej zostawszy sia byli.

Od tego czasu, pan Dzięcioł wykuwał swoje plany leśne, w cichej kancelaryjce, a do lasu udawał się jedynie w zbrojnej eskorcie gajowego Arsena. I rzecz oczywista nic nie wiedział o „Ciotce". Otoczenie całego dworu i ludzi, którzy w nim zamieszkiwali, traktował prawdopodobnie, jako oswojonych ludożerców, a ręczyć możnaby, że stryja Stanisława z jego sumiastemi wąsami i głosem basetli, posądzał o sprawki najdziksze, nie wiedząc, że pod tą groźną powłoką ludojada, kołacze się serce dziecka.

Kiedyś pomiędzy barszczem, a sztuką mięsa stryj Stanisław wygrzmocił basem:

— Uważaj, Amelka! Fełka przyjedzie. Na wigilję! A pan nie znasz go, panie Dzwoniec?

— Dzięcioł jestem, przepraszam.

— Wszystko jedno, ptaszka Boża. I ten co przyjechać ma, to także frant. Jak na dziewczynę spojrzy, to w omdlenie pada, a strzela, ho, ho... Kiedyści ta trzech chłopów z nagonki powalił.

Tak przygotowano pana Dzięcioła do ukazania się nowego okazu. A właśnie nadchodziła wigilja.

Jak śnieżno, jak biało! Wielkie poduchy śniegu przywaliły krzaczane pokrycie puszczy, wielka gotycka świątynia sosnowego boru ubrała się w białe całuny, a nawet wiatr ucichł, stąpając tylko bezszelestnemi krokami po konarach sosen i strząsając z nich brylanty śniegowego puchu.

Jakże tu nie zapolować w taki dzień wigilijny. Pogoda dekorowała las dla tego tradycyjnego obrządku tak pięknie, a niebo jeszcze poprzedniego dnia obleczone szaremi welonami mgieł, w wigilję wyjaśniało jasnym, szklanym seledynem, a anemiczne słońce zimy malowało śniegi w błękitne pasy cieniów drzew... Nie było czasu na tropienie dzików, więc postanowiono brać miot po miocie, na co się zdarzy, licząc przeważnie na zająca.

— A pan w las pojedziesz! — huknął basem nad panem Dzięciołem, głos stryja Stanisława.

— Przepraszam pana... nie polujący.

— A wódka pan pijesz?!

— Doktór mi zabronił!

— A żonatyś pan przypadkiem?!

— Jakoś się nie zdarzyło.

— Tfu, paszkustwa!!! — huknął ze wstrętem stryj i zawinął się w swoją szubę w sankach.

———

Był to miot pierwszy wśród małego zagajniku, a niewielkiej polanki jedliną porosłej i olchą. Cisza była zupełna, tylko gdzieś między szaremi drzewami, spłynęła jak żywy szmaragd krzykliwa sojka, gdzieś tam w rudych krzach łoziny świergotały zziębnięte sikorki. Pole widzenia przed sobą dobre, a na niewielkim pagórku, rysuje się potężna postać stryja Stanisława. Ale naganka już ruszyła. Najpierw odezwała się przyciszonemi głosami, stłumionemi przez śnieg, zaklaskała kołatka, któryś z chłopaków huknął weselej.

Oczy wypatrują niespokojnie szare podszycie lasu.

Ale w tem, o Boże! O wielki Boże!

Z łoziny wypływa szary cień. Sarna? Nie, nie sarna, cień długi, o puszystym ogonie, idący wolno skradającego się kroku, psiego chodu drapieżcy, czujnego, wypatrującego.

Wilk! Minął teraz kępę świerszczyzny, jest na otwartem.

Palę z obu luf...

———

To było więcej, niż emocja dla stryja Stanisława.

Ośnieżony, ze szczęściem rozełkanem w piersi, wyskakuje z sań i obsypując mokrym śniegiem posadzkę pokoi, wpada do saloniku.

A w saloniku opodal pieca siedzi babcia Amelja, zabawiana rozmową przez Dzięcioła.

— Słuchaj Amelka. Czy wiesz co zabił chłopak?

— Uspokój się Stanisławie.

— Jakżeż się mnie uspokoić. „Ciotka" zabił. Z dwóch luf do niej wygarnął. A ta nic, tylko mordą padła w śnieg.

Nikt nie zwrócił wtedy uwagi na twarz pana Dzięcioła, która musiała więcej niż przestrach wyobrażać, wiedząc o mającym nastąpić większym zjeździe rodziny, a będąc przekonanym w sercu, że ma do czynienia ze stadem barbarzyńców, nie słysząc nic o wilczycy radosne okrzyki stryja pojął jako zwiastowanie szekspirowskiego mordu.

— A pan czego stoisz gęba rozdziawiwszy? — huknął staruszek na meljoranta.

— Panie .. panie... jakto, młody panicz ciotkę, ciotkę i tak nic, a cóż ona?

— No cóż, nic. W świronie na drągu powiesili.

— Hy! Jezu!!

Pan Dzięcioł odwrócił się na pięcie, potknął się na posadzce, potrącił lokaja w sieni, jak nieprzytomny w narzuconym kożuszku popędził do wsi.

— Zdurniał, ci co? ten Dzwoniec! Czegóż martwego wilka boja sia?

———

Była to pełna emocji wigilja. Tradycyjne wolne nakrycie zaścielane zwykle „dla zamorskich panów", zajął dnia tego pan komendant policji z miasteczka.

Zaalarmowany przez Dzięcioła o dokonanym przeze mnie morderstwie „na osobie bliskiej krewnej" nolens volens, spełniając swój obowiązek, przyjechał, ażeby spisać protokół. I wtedy się wszystko wydało.

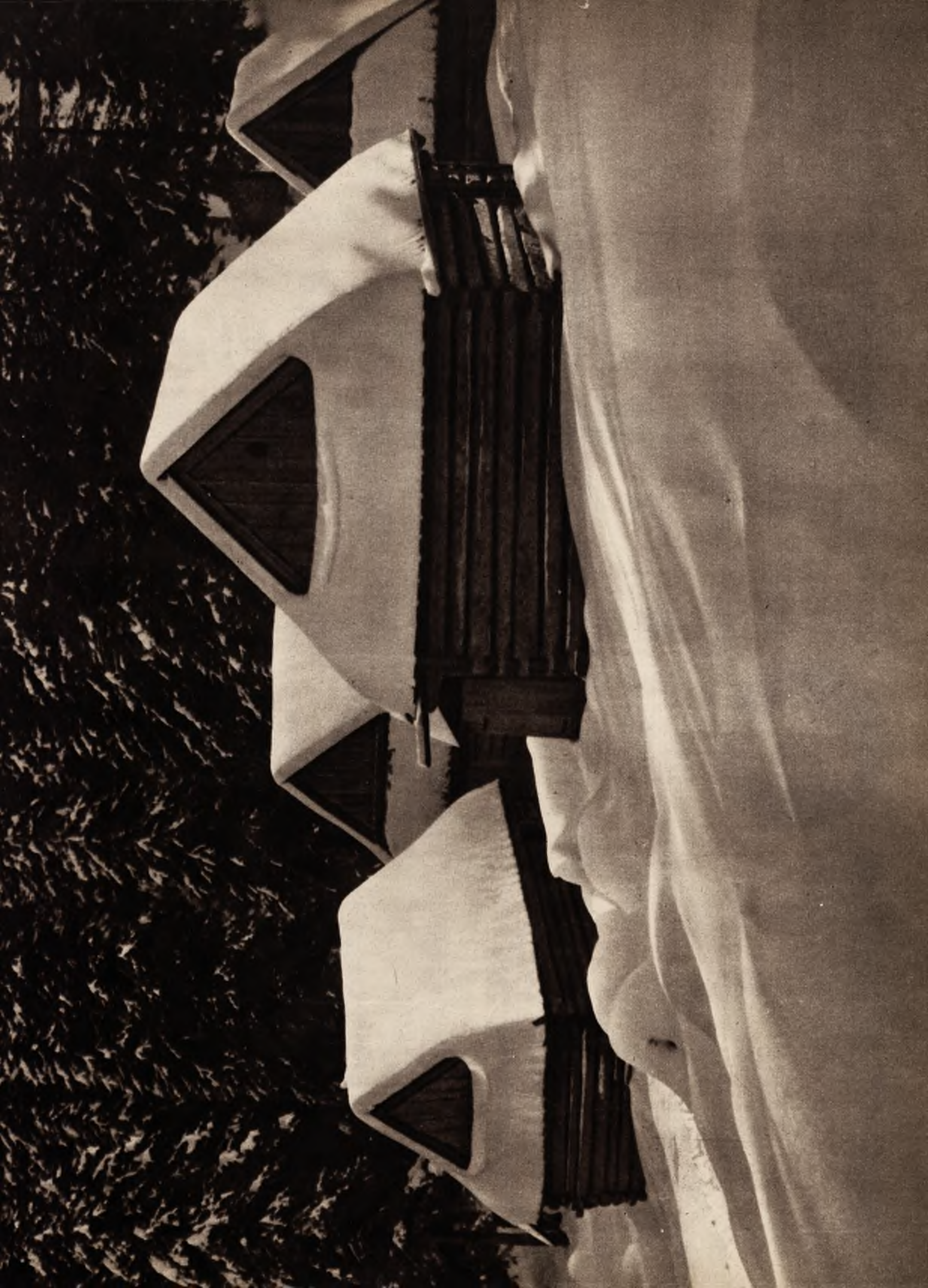
———

Ale to nie była „Ciotka". Zapewne któraś z jej pięknych, rosłych córek. Z czarną pręgą na grzbiecie, strojna w wspaniałe puchy swego zimowego stroju.

„Ciotka" żyje. I ponoć — jak wieść z nad Berezyny niesie — w noce pogodne zimowe wychodzi na skraj puszczański i gwiazdom zimowym nuci swój godowy śpiew.

Feliks Dangel.

W KSIĘŻYCOWEJ POŚWIACIE...



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

NAM SŁÓW NIE POTRZEBA

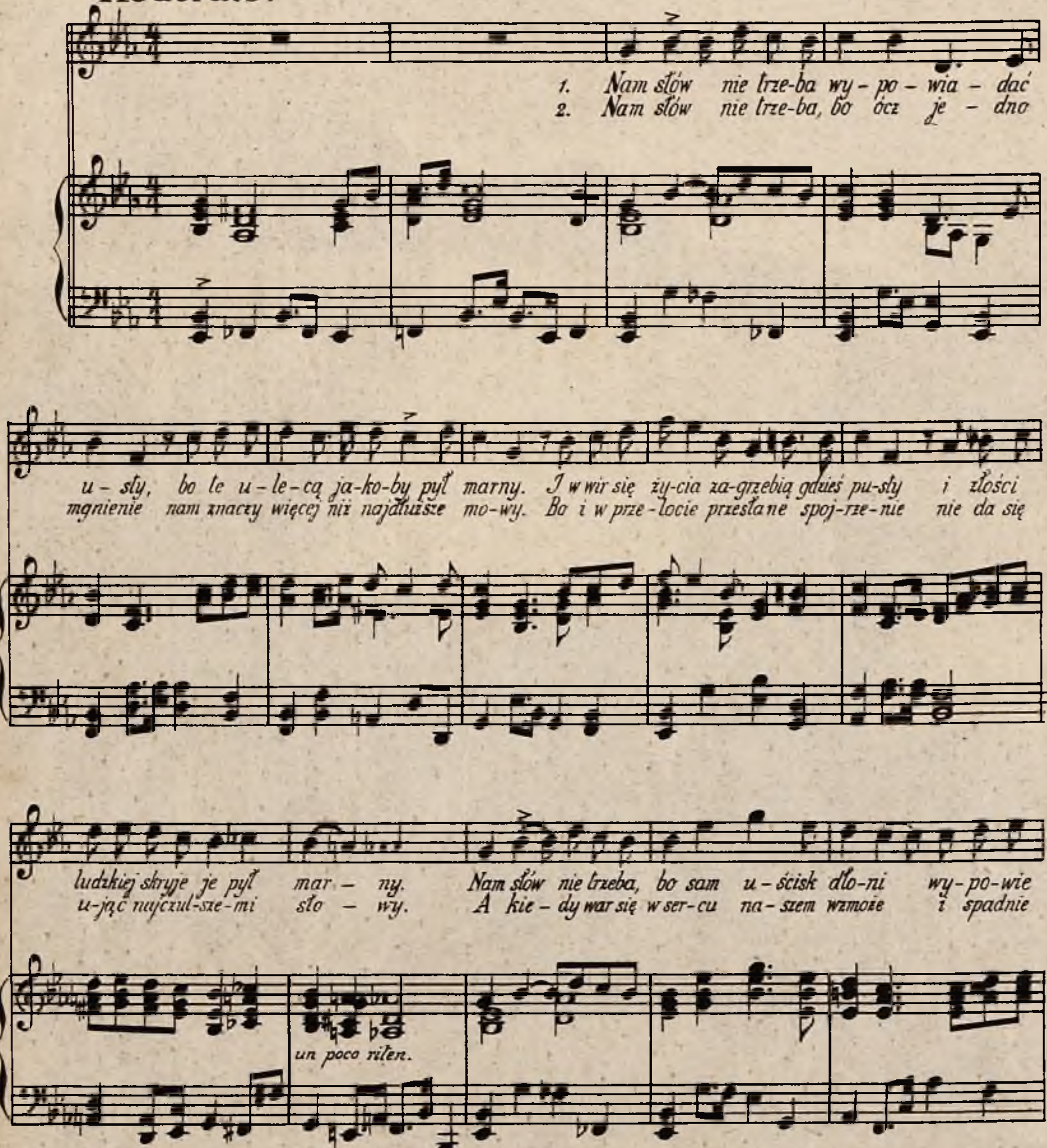
PIEŚŃ

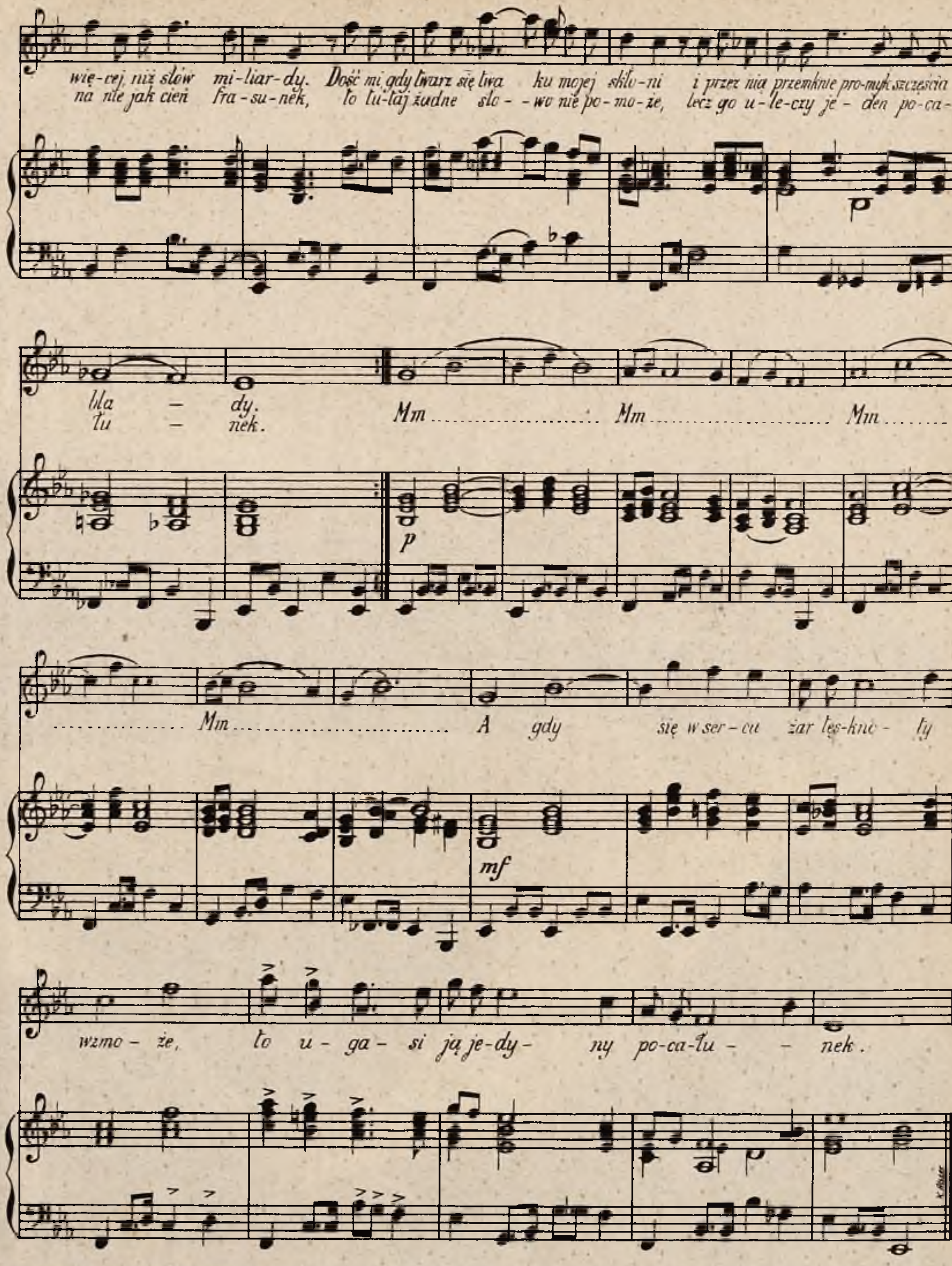
Słowa: ST. KAMYK

Muzyka: BOLESŁAW WALLEK-WALEWSKI



Moderato.







Królowa MAROTIRI

OPOWIEŚĆ Z MÓRZ POŁUDNIOWYCH

CHARLIE

Napisał: LEONARD ŻYCKI-MAŁACHOWSKI. Ilustrował: CHARLIE.

Ciąg dalszy z numeru 49-go.

i zobaczyłem, że mój towarzysz stoi przed rodzajem niszy, w której coś bieleje. W owej niszy leżał bowiem dość dobrze zachowany szkielet człowieka. Schyliłem się, by zbadać to nieoczekiwane znalezisko i stwierdziłem, że to szkielet europejczyka. Dowodziły tego resztki ubrania, guziki, podkówki u butów, które się już rozsypały w proch, a także zardzewiała strzelba, leżąca u boku. Bliższe oględziny wskazały, że ten człowiek nie umarł naturalną śmiercią. Część czaszki była odłupana jakby kulą. Widocznie został ciężko ranny i wpełzł do owej niszy, gdzie zmarł.

A zatem nie byliśmy pierwsi na tej wyspie i odegrała się tu kiedyś jakaś tragedja! Ale kiedy?

Musiało to być dawno, gdyż strzelba należała jeszcze do rodzaju nabijanych od przodu. Zardzewiały zamek nie pozwolił na określenie, czy była to jeszcze broń skałkowa, czy też posługiwano się przy niej już tak zwanemi pistonami. Zostawiwszy rozwiązanie tej zagadki na później (należało się spodziewać, że czasu będziemy mieli aż za dużo), udaliśmy się dalej.

Niedaleko od owej niszy znaleźliśmy dość dużą jaskinię, poprostu wymarzoną na mieszkanie. Obok niej tryskało ze skały źródełko, co znakomicie rozwiązywało sprawę zaopatrywania w wodę Lecz jaskinia była zajęta. W jej głębi znaleźliśmy znów dwa szkielety. Ze sposobu, jak one leżały, widać było, że się tu rozegrała walka. Jeden leżał na piersiach drugiego, a zardzewiałe noże, leżące między kośćmi, mówiły, jakiemi narzędziami tu walczono.

I ci byli europejczykami...

Nasuwało się teraz pytanie: o co tutaj tak zaciekle, na śmierć i życie walczono? Czyżby o żywność? Nie, bo przecież orzechów kokosowych, jadalnych ślimaków i ryb nie brakowało. Wody słodkiej też mieli poddostatkiem.

Więc o co?

Już myślałem, że nigdy nie uda się zdobyć odpowiedzi na to pytanie, gdy nagle Malolo wyciągnął z kąta jaskini metalową szkatułkę. Była zamknięta, ale ostatecznie wszystko na świecie da się otworzyć. Rozbiliśmy ją tedy, mając przekonanie, że w niej kryje się tajemnica owych walk. Jakoż nie zawiedliśmy się

Gdy po długiem waleniu kamieniem szkatułka uległa, z ogromną ciekawością zajrzeliśmy do jej wnętrza. I wtedy zrozumieliśmy czemu tu tak zajadle walczono. Bo w szkatułce, wysłanej miękkim aksamitem, leżało kilkadziesiąt najpiękniejszych .w świecie pereł.

Jedne z nich były idealnie okrągłe, inne miały kształt gruszki, a wszystkie jaśniały w słońcu cudownym połyskiem. Wysypałem je na dłoń. Czyż to możliwe, żeby o te dziecinne zabawki, o te kuleczki o srebrzystej barwie, uderzali na siebie ludzie z nożami w ręku? A jednak... Uświadomiłem sobie, że te perły, o niezwykłych rozmiarach i blasku przedstawiają ogromną wartość. Że ta wartość, niczem nie umotywowana czyni z nich przedmiot takiego pożądania. Malolo patrzył obojętnie, jak przegarniałem perły w drżących trochę (przyznaję to) dłoniach.

— Krwią i zbrodnią zdobyli oni te perły i bogowie nie pozwolili im z nich korzystać. To są perły z Marotiri

— Tak przypuszczasz?

— Tak. Gdy piraci, po wymordowaniu ludności Marotiri i zrabowaniu pereł, odpłynęli, dostali się widocznie w moc huraganu i okręt ich uległ rozbiciu na tem wybrzeżu. Niewielu się wyratowało, lecz i ci pomordowali się wzajemnie. Bogowie zmącili im umysł.

Zgodziłem się bez trudu na przypuszczenia Malola, gdyż było widocznem, że ma słuszność. Zarówno znalezione perły, jak i rodzaj broni, obuwia i odzieży używanych przez rozbitków świadczyły, że to mogli być tylko piraci z Marotiri.

Tymczasem Malolo rozłożył na ziemi kawałek sukna i począł przeglądać i segregować perły. Było ich pięćdziesiąt dwie. Większość ich była okrągła, lecz kilkanaście było „barokowych". Jedna z nich miała dziwaczny kształt, jakby głowy kobiecej w koronie. Malolo nazwał ją odrazu „królową Marotiri". Ta perła była niesłychanie „amatorska" i w Nowym Jorku daliby za nią grube pieniądze.

W Nowym Jorku... Ale jak się dostać do Nowego Jorku? Czy nie jest bardziej prawdopodobnem, że będziemy musieli tu siedzieć może i lata całe, jak owi marynarze za bunt lub przestępstwa wysadzani na bezludne wyspy. W te strony nie zapuszczają się szkunery kupców, a jeżeli kto się tu pokaże, to napewno będzie to człowiek, mający zatargi z prawem. Bo korsarstwo jeszcze i dziś nie zniknęło zupełnie z tych wód i niejeden szkuner znika nagle z powierzchni wód, powiększając rubrykę „zaginionych okrętów" a w knajpach portowych mówią, że stało się to dlatego, że jego kapitan „nie zdążył strzelić pierwszy"".

Stanowczo lepiej było siedzieć lat dziesiątek na wyspie, niż dostać się z tak drogim ładunkiem pereł w ręce nowoczesnego korsarza.

Lecz tak czy owak — narazie nie było żadnego wyboru i trzeba się było przygotować do jak najmożliwszego spędzenia czasu na wyspie. Zostawiwszy szkatułkę w jaskini, poszliśmy na szczyt góry, skąd roztaczał się wspaniały widok na ocean. Wspaniały, boć trzeba nazwać wspaniałą potężną i bezmierną taflę wód, tak cichą i spokojną. jakby nigdy nie zrywała się do buntu. Lecz ten bezkres, na którym nie znaczył się najmniejszy nawet skrawek ziemi, nie nastrajał wesoło.

Znaczyło to, że trzeba się było urządzić na wysepce na czas dłuższy. Zeszliśmy do jaskini i sprawiliśmy pogrzeb szkieletom. Nieprzyjemnie było ruszać je z miejsca, ale innej rady nie znaleźliśmy, a jaskinia najlpiej nadawała się do zamieszkania i ona dawała najlepsze schronienie przed słońcem i deszczem. Wyporządziliśmy ją jak było można, nacięliśmy liści palmowych na posłanie i zaczęło się życie, w którem jeden dzień był podobny do drugiego: monotonne życie rozbitków.

Wśród szczątków dobytku korsarzy znalazła się szczęśliwym trafem szklana lupa, więc rozniecenie ognia nie przedstawiało żadnej trudności. A Malolo nie byłby Polinezyjczykiem, żeby nie umiał z niczego porobić naczyń do gotowania i narzędzi do łowienia ryb. Zatem głodu nie cierpieliśmy i nie byliśmy zmuszeni żywić się tylko orzechami kokosowemi i surowemi rybami. Od czasu do czasu udało się schwytać żółwia i jego smaczne mięso stanowiło urozmaicenie naszego skromnego jadłospisu.

Wieczory spędzaliśmy przy lampie z orzecha koksowego, opowiadając sobie ciekawe opowieści z naszych krajów, albo snując marzenia o tem, co będziemy robili, jak spieniężymy perły. Albo też szliśmy na szczyt góry i rozpalaliśmy ognisko (mój pomysł), które miało dać znać o nas przepływającym obok wyspy żeglarzom.

Lecz dzień za dniem, tydzień za tygodniem mijały i ratunek się nie zjawiał. Chodziłem już na sposób kanacki, to jest nago i tylko z plecionką z liści palmowych na biodrach, podtrzymywaną skórzanym pasem. Ach, prawda, zapomniałem wspomnieć o swoim pasie. Nie był to byle jaki pas, bo zrobił go jakiś przemyślny rzemieślnik w Stanach Zjednoczonych. Służył mi w pierwszym rzędzie do noszenia rewolweru, a poza tem posiadał stalowe skrytki, zamykane na misterne zamki, do przechowywania pieniędzy i dokumentów. Rewolwer wyrzuciłem, ska-

cząc do wody, a pas jednak się na coś przydał, a w razie potrzeby można było wspaniale ukryć w nim perły.

Jakoż ta potrzeba nadeszła w niedługim czasie. Pewnego dnia (był to już trzydziesty piąty dzień naszego siedzenia na wyspie) orli wzrok Malola dostrzegł zarysy żagla. Natychmiast rozpaliliśmy ognisko na szczycie góry, żeby dać znać o sobie i aż skakaliśmy z radości, gdy statek wziął kurs na wyspę. Schowaliśmy też perły do skrytek w pasie, nie chcąc drażnić licha.

Tymczasem statek zbliżał się ku wyspie, lawirując ostrożnie po nieznanych wodach. Był to szkuner dwumasztowy, dość ciężko, ale silnie zbudowany. Stanąwszy na redzie, zarzucił kotwicę i opuścił szalupę. Pobiegliśmy na wybrzeże, by powitać niespodziewanych wybawców, a tymczasem szalupa przybiła do brzegu. Wyskoczył z niej i podszedł do nas człowiek w marynarskiej czapce na głowie, odziany w długą, prawie do kolan sięgającą bluzę. To bluza była czemś niezwykłem na marynarzu i przypominała raczej ubiór chińskiego kulisa

Jakoż i właściciel jej, mimo ogorzałej, śniadej cery, był żółtoskórym. Skośne oczy i wystające kości policzkowe aż nadto dobrze o tem świadczyły. Chińczyk podszedł do nas i przyłożywszy na sposób marynarski dwa palce do czapki, rzekł: jestem kapitanem Wang. Co panów tu przyniosło w te zakazane kąty?

Nie odrazu odpowiedziałem na pytanie Chińczyka, gdyż przypomniało mi się, że o tym Wangu już niejedno słyszałem. Urzędowo trudnił się handlem, lecz miał raczej skłonność do wyławiania ładunku z zatopionych statków, a podobno był i nie od tego, żeby najpierw pomóc statkowi zatonąć. Zresztą nic nie umiano mu dowieść, a że z władzami był na bardzo dobrej stopie, więc się go nikt nie czepiał.

Jak umiałem tedy najdyplomatyczniej, opowiedziałem Wangowi o naszym wypadku, zrzucając wszystko na karb huraganu i popsucia steru i żagli, co sprawiło, że zadryfowało szkuner aż na te wody.

Wang słuchał uprzejmie, nie przerywając mi ani słowem, a następnie jeszcze uprzejmiej poprosił nas do udania się na jego „nędzny" statek i uważania go za swój, aż do przyjazdu na Penhryn. Przesadne chińskie zwroty zabawnie brzmiały w jego angielszczyźnie, której nawet student z Oksfordu nie mógłby nic zarzucić.

Oczywiście, że zaproszenie przyjęliśmy i ja ze swej strony nie omieszkałem zapewnić gościnnego syna nieba, że postaram się go wynagrodzić w miarę możliwości, gdy tylko znajdę się w domu.

Wang, uśmiechając się, powiedział, że sam zaszczyt przebywania w tak znakomitem towarzystwie starczy za wszelkie nagrody. Przytem wydało mi się, że jego skośne oczy zezują w kierunku mego pasa.

Wsiedliśmy po wymianie tych grzeczności do szalupy i udaliśmy się na statek. Wyglądał on dość niewinnie, choć załoga, składająca się przeważnie z awanturniczych mieszkańców wysp Salomona, patrzyła zbójem. Wang zaprowadził nas do sporej kabiny, sąsiadującej z jego własną i umeblowanej w najczystszym chińskim stylu. Bosonogi steward wniósł nam dwa komplety ubrań, poczem kapitan zostawił nas samych, prosząc, aby toalety do porządku przyw prosząc, aby po doprowadzeniu toalety do porządku, przybyć do niego na obiad.

Nie kazaliśmy mu długo czekać i wkrótce siedzieliśmy już przy stole żółtolicego kapitana, kosztując wymyślnych przysmaków kuchni chińskiej, przyrządzonych snać przez chińskiego kucharza. Wang bawił nas wytworną rozmową, która w innych wypadkach możeby nie śmieszyła, gdyż nie byłem przyzwyczajony do chińskiego stylu, lecz tutaj trzeba było się zachować jak najuprzejmiej. Chińczycy są bardzo drażliwi na punkcie dobrego wychowania i wszelkie uchybienia formom uważają za ciężką obrazę.

Wang stał na wysokości zadania i ani słowem nie zapytał o mój pas, choć widać było, że go to bardzo interesuje. Ja znów ze swej strony uważałem za niebezpieczne sam wszczynać rozmowę na ten temat. Uważałem, że to może w nim wywołać podejrzenia. Mało wtedy znałem duszę Chińczyka.

Po obiedzie i po wypiciu kilku filiżanek wybornej herbaty udaliśmy się na spoczynek do naszej kabiny. Byliśmy pomęczeni tylu przejściami i głowy nam bardzo ciążyły.

Ciężki to był sen i nieprzyjemne przebudzenie. Głowa mię bolała, a kiedy podniosłem się, żeby się napić wody, zobaczyłem, że pasa nie było. Gorączkowo począłem go szukać wszędzie wokół siebie, nie będąc pewnym, czy nie zdjąłem go półświadomie przed snem. Lecz nie — pas zniknął. To była sprawka Wanga. Podbiegłem do Malola, gorączkowym szeptem, wtajemniczając go w przebieg wypadków. Jeszcze nie skończyłem, gdy cichutko odchyliły się drzwi i wszedł Wang. Teraz zauważyłem, że ten człowiek ma w swych ruchach coś tygrysiego.

— Jakże się panom spało? — zapytał uprzejmie

— Łotrze! — krzyknąłem niepotrzebnie zbyt głośno — oddaj moje perły.

Wang udał wielkie zdziwienie.

— Perły? Jakie perły? Przecież panowie żadnych pereł przy wsiadaniu na mój statek nie mieli.

Uspokoiłem się. Poco się niepotrzebnie rzucać, kiedy to nic nie pomoże, a może pogorszyć naszą sytuację. Jesteśmy bądź co bądź na łasce tego nędznika.

— Kapitanie Wang — rzekłem możliwie chłodno — wie pan tak dobrze, jak i ja, że te perły są tutaj i co więcej — ma je pan w swojem posiadaniu. Te perły zostały zdobyte ciężkim trudem i są nie tylko moją własnością. Zechce pan je nam zwrócić, jeżeli nie chce pan wejść w konflikt z prawem.

— Konflikt z prawem? Pan jest zabawny, mister Kuarti. Znalazłem was na wysepce, gdzie zapewne bylibyście musieli siedzieć jeszcze bardzo długo i mam prawo naznaczyć cenę za przewóz, jaka mi się podoba. Jeżeli nie zgadzacie się, well, mogę was tam odwieźć z powrotem I za to już nic nie policzę. A co do pereł — radzę panu zapomnieć o nich w dobrze zrozumianym interesie własnym.

Bezczelność Chińczyka tak mię oburzyła, że straciłem odrazu cały mój (nieco sztuczny) chłód. Jednym skokiem dopadłem Wanga i chwyciłem go za gardło. Lecz widocznie był on przygotowany na podobną ewentualność, gdyż w tejże chwili wpadło kilku czarnych drabów i rzucili się na nas. Po krótkiej walce leżeliśmy powiązani, jak barany.

— No, a co teraz? — zapytał Wang, który się przyglądał z uśmiechem całej tej walce.

Postanowiłem nie odpowiadać ani słowem na wszelkie zaczepki Chińczyka i zaciąłem się w pogardliwem milczeniu.

— Nie mamy chęci na rozmowę, dobrze, nie będę zmuszał panów do rozmowy. Ale ponieważ nadużyliście prawa gościnności i obraziliście mnie, pana i władcę tego statku, pozostaje mi jedno. Poprosić was o opuszczenie mego statku... i to... zaraz. A ponieważ panom przyszłoby to z trudnością, postaram się jeszcze i w tem wam dopomóc.

Wydał rozkaz i czarni majtkowie chwycili nas, jak dwa worki i wynieśli na pokład. Potem przynieśli szeroką deskę i oparli ją o burtę

— Czyżby oni chcieli nam urządzić marynarski pogrzeb za życia? — zapytałem mego towarzysza. Lecz Malolo nie odpowiedział na to retoryczne pytanie. Oczy miał szeroko rozwarte i patrzył kędyś w przestrzeń. Nagle począł śpiewać. Nie byłoby w tem nic dziwnego, bo Polinezyjczycy bardzo lubią śpiew i przy każdej okazji śpiewają. Więc może i Malolo w ten sposób żegnał się z życiem. Ale, mimo, że już dość dobrze rozumiałem język wyspiarzy, nic nie mogłem z jego śpiewu zrozumieć. Miałem tylko wrażenie, że Malolo śpiewa jakąś bardzo starą pieśń w języku znanym zapewne tylko kapłanom.

Lecz nie — i majtkowie Wanga widocznie zrozumieli pieśń Malola, gdyż stanęli jak wryci. Słuchali jej przez chwilę i nagle, jakby pchnięci jakąś potężną mocą, rzucili się na stojącego w pobliżu kapitana. Kilka chwil i Wang leżał skrępowany na pokładzie. W chwilę potem nasze więzy zostały rozcięte, a czarni majtkowie padli na twarz przed Malołem, bijąc mu głębokie pokłony. Potem pobiegli do kambuza i przyprowadzili starego, związanego Chińczyka

— To Ah-fu, kucharz — rzekł jeden z nich.

Nie rozumiejąc, co się stało, zwróciłem pytające spojrzenie na Malola.

—To są, tak jak i ja, „tancerze ognia". A że jestem między nimi czemś, więc dowiedziawszy się o tem, wolą mnie służyć, niż temu żółtemu psu.

Wtedy to nauczyłem się niczemu nie dziwić. Objąłem komendę statku, jako jedyny z całego grona, umiejący określić pozycję geograficzną okrętu, Chińczyków kazałem zamknąć w kajucie i skierowałem statek ku wyspie Penhryn. Ta część podróży minęła nam bez żadnych przygód. Oczywiście, że perły odnalazłem. Wang umieścił je w najpewniejszem, jak mu się wydawało, schronieniu. W woreczku na piersiach. Trzeba przyznać, że przegrawszy swoją grę, zachowywał się nadzwyczaj spokojnie i nawet zdobył się na uprzejmą rozmowę ze mną. Tylko z oczu było mu widać, jak straszną pała ku mnie nienawiścią Ale, że oczu bazyliszka nie posiadał, więc nikomu nie mógł nimi krzywdy zrobić.

Tak więc do wyspy dojechaliśmy spokojnie. Tylko Wang miał potem długo kłopotu, bo mu cała załoga zdezerterowała i nie mógł na naszej wyspie znaleźć nikogo, coby z nim chciał jechać.

A potem nastąpiła najprzyjemniejsza część przygód. Wyjazd do Nowego Jorku w celu sprzedaży pereł. Nie odrazu udało się je spieniężyć, ale też polskie przysłowie mówi: co nagle, to po diable. Wreszcie doprowadziłem wszystko do pomyślnego końca i dostałem bardzo porządną paczkę dolarów. A najwięcej się ludzie dobijali o „królową Marotini". Kupił ją podobno pewien młody europejski monarcha dla swej narzeczonej. Zaiste, królewski to był dar.

Jak triumfator powróciłem na wyspy. Podzieliłem się po bratersku z Malolem i obdarzyłem hojnie wszystkich, co nam pomogli do zdobycia majątku, względnie ich rodziny Nie potrzebuję dodawać, że i Kahuna się porządnie pożywił.

I kiedy już wszystko załatwiłem i zostałem z dobrze wypchanym portfelem — ogarnęła mnie tęsknota za Polską.

Jeszcze raz zobaczyć te pola, rozfalowane dojrzewającym żytem, żółte od łubinu i czerwieniejące od koniczyny. Zobaczyć Tatry z ośnieżonemi szczytami i posłuchać prastarego hejnału w królewskim Krakowie.

Pożegnałem Malola, który jest dziś wielkim panem na swej wyspie i zbudował sobie dom, o którym mówią na całym archipelagu, pożegnałem Panettona i Lelonga, którzy smętnie wzdychali, słysząc o mych projektach powrotu do ojczyzny, urządziłem wspaniałe przyjęcie dla mych przyjaciół-wyspiarzy i wsiadłem na elegancki parowiec, idący z Sydney do Liverpoolu.

A kiedy przejeżdżałem przez kanał Panamski, poznałem to miejsce, w którem pomyliłem okręty i pomyślałem: Jakby też się ukształtowało moje życie, gdybym naprawdę się dostał na okręt idący do Liverpoolu.

A teraz jestem w Polsce. I nie żałuję tej mojej pomyłki. A nieraz nawet myślę, że może jeszcze nadejdzie czas, że udam się znów, tym razem dobrowolnie, na wyspy. Żeby znów posłuchać dźwięku gitar i cudnego śpiewu dziewcząt polinezyjskich. I cudniejszego nad ich śpiew szumu oceanu, rozbijającego swe fale na koralowych piaskach wysp.

KONIEC



HALINA ŁECKA, artystka teatru łódzkiego, w roli Amelji w tragedji Słowackiego „Mazepa”

SALON PIEKNOŚCI "ASA"

codzienna kąpiel — najlepszym środkiem kosmetycznym



Bez pomocy gąbki lub szczotki na długiej rączce „nie zajdziemy daleko"...

Fot. Schostal — Berlin.



Specjalny puder, stosowany po kąpieli, nadaje skórze pożądaną matowość...

Pragniemy wiedzieć, czy wynajmując mieszkanie, zwróciła pani uwagę na swoją przyszłą łazienkę?

— Czy jest ta łazienka odpowiednio obszerna, jasna, łatwa do wietrzenia zapomocą okna i wentylatora? — Pytam o te szczegóły dlatego, ponieważ uważam łazienkę za równie ważną ubikację mieszkalną, jak pokój sypialny, czy każdy inny, a znając większość mieszkań w kamienicach czynszowych, gdzie urządzenie łazienki przeczy częstokroć wszelkim postulatom higjeny, czyniąc ją poprostu niezdatną do użytku, uważam tę sprawę za ważne zagadnienie.

Nieledwie do szczęśliwych wyjątków liczą się u nas domy o wzorowych łazienkach i niejedno zapewne jeszcze pokolenie cierpieć będzie na zdrowiu także i z powodu braków w tym właśnie kierunku. Tem bardziej czynić należy jak najpowszechniejszą propagandę wygodnej, zdrowej łazienki dla każdej polskiej rodziny, a panie domu, wśród innych ważnych obowiązków, jakie im życie stawia do spełnienia, pamiętać winny, że ich trosce powierzone zdrowie wielu osób, wymaga używania mieszkań, posiadających ubikacje do codziennej kąpieli.

Codzienna kąpiel... Ileż zdrowia, sił, wyśmienitego samopoczucia daje ona swym zwolennikom, będąc przytem jeszcze najlepszym ze środków kosmetycznych, który przydaje nadto całej postaci wyraz radosnego piękna.

Wejdźmy do łazienki. — Czy wszystko jest w domu pięknej pani przygotowane do codziennej kąpieli?

Uderzać ma nas przedewszystkiem wzorowa czystość. Ściany wyłożone kafelkami. Podłoga przykryta słomianą matą, uchroni nogi od zimna kamiennej posadzki. Wanna niech błyszczy od czystości, choćby należała do tych najskromniejszych. Często zmieniane ręczniki, grube płaszcze kąpielowe, półeczki, zastawione przyborami do mycia. Łagodna temperatura, dużo światła, rześka wilgotność powietrza podziałają zachęcająco na każdego, kto tu wejdzie.

Pani domu reguluje czas kąpieli. Znać się powinna na tem doskonale. Rozróżniać kąpiel gorącą, letnią i zimną. Wiedzieć, że ta pierwsza nie może być zbyt często używana, ani przedłużana, bo wyjaławia skórę, zwłaszcza gdy używa się mydła równocześnie i w takiej namydlonej wodzie dłużej pozostaje. Zatyka ona pory skóry i wyklucza jej regenerację, która ma być skutkiem każdej kąpieli. To też mycie mydłem odbywać się powinno osobno, poczem dopiero po spłókaniu brać należy właściwą kąpiel.

Najzdrowsza jest bezwzględnie codzienna kąpiel zimna o 18—20° Celsjusza, ale nie każdy organizm jest na tyle zahartowany, aby ją powszechnie stosować. Jeżeli natomiast poprzedzi ją kilka ćwiczeń gimnastycznych i zmywanie całego ciała przy pomocy grubej rękawicy kąpielowej, łatwo się do niej przyzwyczaić, tak, iż staje się codzienną koniecznością organizmu. W ciepłej łazience zmywanie zimną wodą nie sprawia żadnej przykrości. Przygotujmy do tego na małej miedniczce wodę o wymienionej temperaturze. Rękawicą, gąbką naturalną lub gumową, które zwilża się w wodzie i wyciska, nacieramy ciało od dołu do góry, zaczynając od nóg. Za każdym razem rękawicę na nowo się zwilża i wyciska, nacierając się coraz wyżej. W ten sposób ochładzamy kolejno całe ciało, analogicznie do tego, jak kiedy wchodzimy do zimnej wody, zanurzając się w niej coraz głębiej, aż po szyję. Ruchy wykonujemy przytem szybkie i żywe, bo i ten moment decyduje o utrzymaniu należytej temperatury ciała.

Następna czynność, to masaż za pomocą uderzeń rękami po całej powierzchni ciała: potem szybko wycieramy się grubym ręcznikiem, co powoduje szybszy obieg krwi. Kto jest na tyle zahartowany, aby po nacieraniu wziąć całą zimną kąpiel w wannie, wykonuje masaż i wytarcie grubym ręcznikiem po kąpieli, następującej bezpośrednio po nacieraniu.

Dla pań bardzo polecane są obecnie wieczorne kąpiele nasiadowe, ciepłe, 38°, brane 3 razy na tydzień po 20 minut. Ich krzepiące działanie wzmaga znacznie dodatek ziół aromatycznych. Dwa razy na tydzień daje się do kąpieli odwar z rumianku, skrzypu, rozmarynu, tymianku i jałowca. Wszystkie te zioła parzy się i przez szmatkę przecedza do kąpieli. Raz na tydzień dodaje się do nasiadówki garść soli morskiej. Po 20 minutach nasiadówki, osusza się skórę i wchodzi na parę minut do letniej wody w wannie dla zupełnego opłókania. Takie kąpiele pobudzają silnie obieg krwi, asekurując organizm przed wieloma chorobami wewnętrznemi. Przypisują im skuteczne działanie na zaczerwienienie rąk i nosa i chorobliwą bladość warg oraz dziąseł.

Wybitnie uspokajająco działają kąpiele w naparze igliwia, które można sobie własnoręcznie nagromadzić latem, lub też nabywać w aptece. Zebrane igliwie naciąga pół godziny w gotującej wodzie, preparaty apteczne rozpuszczają się w wodzie zaraz.

Orzeźwiającą kąpiel uzyskamy, wkładając do woreczka 200 g sody krystalicznej, oraz po 5 g lawendy, tymianku i rozmarynu. Woreczek wieszamy pod kranem i przezeń przepuszczamy wodę do wanny.

Na polepszenie apetytu można zastosować kąpiel następującą: 88 g siarczanu sodowego, 30 g chloru sodowego, 80 g węglanu sodowego.

Na dobry sen działa znakomicie kąpiel z lipowego kwiatu. Zagotować 1 kg kwiatu lipowego w 5 litrach wody przez kwadrans i przecedzić do wanny.

Zakres kąpieli ziołowych i mineralnych jest olbrzymi i gotowych preparatów, najrozmaitszych soli kąpielowych jest również wiele. Dla zdrowego organizmu, który chcemy racjonalnie konserwować, najlepsza jest zwyczajna, codzienna zimna kąpiel, stosowana w odpowiednich warunkach ciepłej zacisznej łazienki.

* * *

Porównajmy jeszcze kąpiele dzisiejsze z temi, które przekazała nam historja:

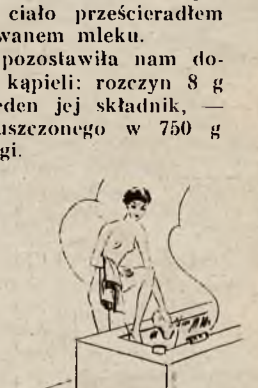
Poppea, żona Nerona, kąpała się w mleku oślic.

Madame Tallien używała kąpieli z przecieranych do wody poziomek i malin, poczem nacierano jej ciało prześcieradłem zwilżanem w perfumowanem mleku.

Ninon de Lenclos pozostawiła nam dokładną receptę swych kąpieli: rozczyn 8 g soli i 8 g sody. to jeden jej składnik, — 3 łyżki miodu, rozpuszczonego w 750 g mleka, to składnik drugi.

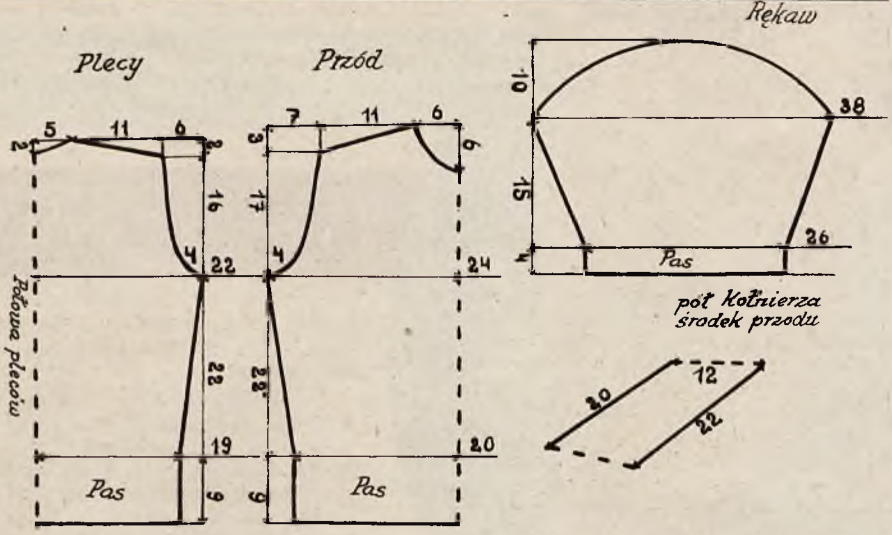
Nowoczesna kosmetyka zadowala się nawet zwyczajną zimną wodą, choć zakres jej możliwości kąpielowych jest niezmierzony w rozlicznych specyfikach przemysłu perfumeryjnego.

Elwira.



Na prawo: Pierwszy „ranny krok" pięknej pani...

ZROBIĘ ★ TO ★ SAMA



1,5cm = 10cm

PULLOVER Z MIĘKKIEJ WEŁNY

Pullover, którego fotografję reprodukujemy obok, łatwy jest do zrobienia, a poza tem posiada dwie cenne zalety: wzór jest szczególnie efektowny, a na wykonanie go nie potrzeba tyle czasu, ile na kombinowane wzory, które ciągle w robocie trzeba kontrolować, licząc, mierząc itd.

Najlepiej przećwiczyć osobno technikę tego wzoru na drutach według reprodukowanej obok próbki. Robimy łańcuszek wstępny, względnie przygotowujemy na dwóch drutach potrzebną tu ilość oczek, a więc 63. Pierwszych 21 oczek robimy naprzemian oczko wprost, oczko nawywrót. Następnie 3 oczka wprost, 3 nawywrót, 3 wprost, 3 nawywrót, 3 wprost, 3 nawywrót, 3 wprost. Wreszcie trzecia część wzoru znów 21 oczek raz wprost, raz nawywrót. Obracamy robotę i wykonujemy w 1-szej i 3-ciej części te same ściegi, co w pierwszym rzędzie, ale w odwrotnym porządku. Nad każdem oczkiem wprost oczko nawywrót, nad każdem nawywrót, oczko wprost. Część środkowa idzie jak w poprzednim rzędzie: zawsze 3 wprost, 3 nawywrót ponad sobą.

Tak wykonuje się 30 rzędów, poczem deseń się przestawia. Nad tłem przychodzą prążki, wiązane później w połowie nitką w tym samym kolorze, jako gwiazdki, a nad prążkami przychodzi tło.

Po wystudjowaniu wzoru przystępujemy do wykonania pulloveru, na który trzeba sobie przygotować formę, skrojoną z grubszego papieru, a wyrysowaną na podstawie danych, jakie mamy na zamieszczonych obok rysunkach, które stosownie do wymiarów danej osoby trzeba zwęzić czy poszerzyć.

Robotę zaczynamy od dołu w dwóch częściach, a to przód i plecy osobno. Ilość oczek na początku roboty zależna jest od wielkości formy, jak również od grubości wełny i gęstości wykonania techniki drutowej, która jest indywidualna dla każdej wykonawczyni. Przeciętnie przy cienkiej wełnie, drutach nr. 3 i na średnią wielkość, trzeba liczyć 130 oczek tak na przód, jak i na plecy.

Zaczynamy robotę od 9-centymetrowego pasa, który przytrzymuje i ściąga pullover, a który wykonujemy: 2 oczka wprost, 2 nawywrót itd.

Po zrobieniu w ten sposób pasa, szerokiego na 9 cm, musimy obliczyć oczka na następujący wzór w ten sposób, aby gwiazdka umieszczona była w środku, a od niej reszta wzoru, zależnie jak wypadnie, prawdopodobnie 3 gwiazdki i 4 tła. Skrajne pola tła wypaść mogą na mniejszą niż 21 ilość oczek, ale to dla wzoru jest obojętne. I tak później pod pachami trzeba robotę poszerzać, to znów na wszycie rękawów — zwężać. Przy wykonaniu pleców trzeba pamiętać, aby od góry zostawić rozcięcie na wciąganie pullovera, licząc na nie 5—7 cm.

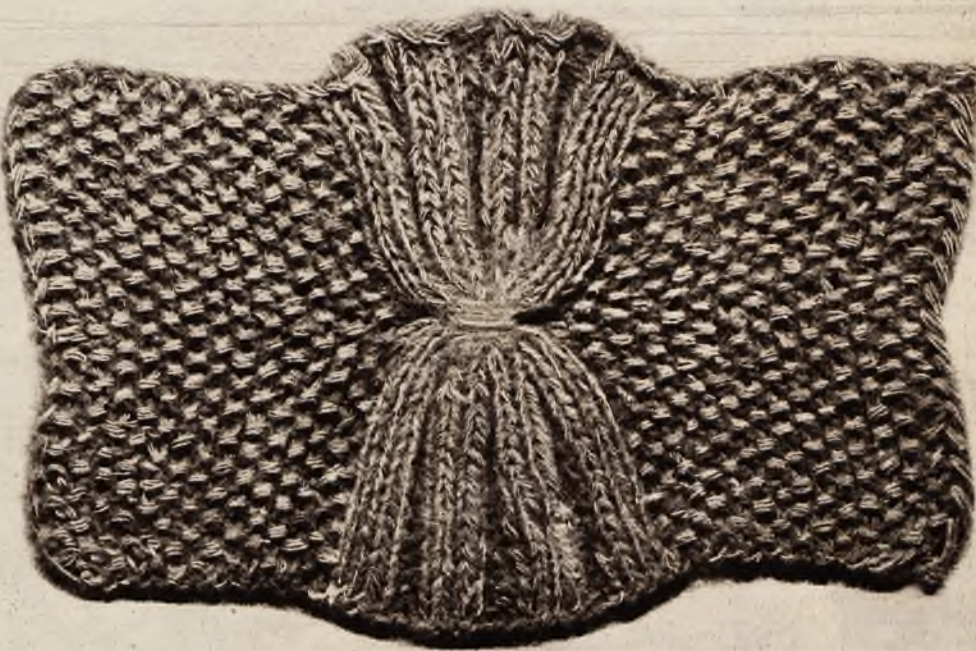
Przy robocie rękawa, zaczynamy pasem: 2 wprost, 2 nawywrót, do wysokości 4 cm, poczem rozliczamy oczka, aby gwiazdka wypadła w środku i resztę wykonujemy podług formy.

Osobno wykonujemy kołnierz, który się potem wszywa w pullover. Przygotować 160 oczek i kolorową nitką zaznaczyć sobie odrazu środek, bo od 2-go rzędu, stale co drugi rząd, ujmować się będzie tutaj, biorąc 2 oczka razem, przez co utworzy się widoczny na zdjęciu szpic kołnierza z przodu. W tym samym rzędzie przy obracaniu dodawać zawsze będziemy po jednem oczku. W ten sposób ilość oczek pozostanie zawsze tasama, ale kształt kołnierza będzie wydłużony ku przodowi i ku tyłowi. Najlepiej kontrolować ilość oczek w każdym rzędzie roboty. Gdy szerokość kołnierza wyniesie 12 cm, zakańczamy go i wszywamy w wycięcie szyji, złączonego już z przodu i pleców pullovera.

Na pullover taki wychodzi, zależnie od grubości wełny i ciaśniejszej lub wolniejszej roboty, 20—25 g wełny. Radzimy nie wykonywać go ze zbyt grubej wełny, bo przy cieńszej wzór ładniej wygląda.

Mewa.

Powyżej, na lewo: Schemat, według którego należy wykonać pullover.



Fragment wzoru pullovera do osobnego przećwiczenia.



Na lewo: Oto jak wygląda piękny pullover, o deseniu gwiazdkowym, wykonany na drutach.
Fot. P. Feldscharek — Wiedeń.

Strój domowy PIĘKNEJ PANI



Na lewo w kole: Marlena Dietrich w filmie „Rycerz bez zbroji". Fot. Lorant — Londyn.

Niedawno jedno z pism kobiecych ogłosiło dla swych czytelniczek ankietę, sformułowaną w sposób następujący: „dla kogo się Pani ubiera?" Część kobiet odpowiedziała szczerze i poprostu, że dla mężczyzn, względnie dla jednego mężczyzny. Inne wyznały, że stroją się dla przyjaciółek, które z jednej strony najlepiej umieją ocenić „klasę" danej tualety, z drugiej strony są zazdrosne, więc przyjemnie jest im robić na złość. Ogromna jednak większość odpowiedziała, że lubią się ubierać przedewszystkiem dla siebie. Aby sprawdzić szczerość ich odpowiedzi, należałoby je podpatrzeć, jak ubierają się w domu, w czterech ścianach swego mieszkania, gdy nikt na nie nie patrzy. Strój domowy jest bowiem najlepszym miernikiem prawdziwej elegancji i poczucia estetycznego, właśnie dlatego, że nie podlega żadnemu przymusowi snobizmu czy próżności, a nawet wymyka się z pod tyranji obowiązującej mody, pozwalając na wiele fantazji i dowolności w jego wyborze.

Poniżej: Piękny negliż Marleny Dietrich z powiewnej gazy z rękawami z plisowanych falbanek.





Na lewo: Oryginalna pidżama z crêpe satin podkreśla urok postaci Gail Patrick, gwiazdy amerykańskiego filmu

Znam kobiety, które hołdują zasadzie, że w domu donaszać można to wszystko, czegoby poza domem włożyć już nie wypadało. Wychodząc, przebierają się od stóp do głów, retuszują maquillage, poprawiając fryzurę, perfumując się i zwracając baczną uwagę na każdy szczegół swego stroju. A w domu? Pożal się Boże, jak te same ładne i eleganckie kobiety potrafią wyglądać. Stara poplamiona spódnica od zeszłorocznego kostjumu, wypłowiała i wymięta bluzka, sprane pończochy i zniszczone wieczorowe pantofle, których „wieczorowość" poznać można jedynie po wysokości wykręconych obcasów. I te kobiety mają pretensję do elegancji i wytworności!

Tak, moje Panie! Nie wystarczy ubierać się szykownie ku podziwowi mężczyzn i zazdrości przyjaciółek. Trzeba estetykę swej osoby uprawiać przedewszystkiem w domu i pamiętać o tem, że prawdziwa dama jest zawsze ubrana tak, aby każdej chwili móc pokazać się tym, na których jej najwięcej zależy. Przy skromnym nawet budżecie zawsze znajdzie się miejsce na gustowny i estetyczny strój domowy, na który prawdziwie elegancka kobieta kładzie największy nacisk. Dziś, gdy praca zawodowa tak wiele kobiet zmusza do spędzania długich godzin poza domem i do odpowiednio „surowego" i prostego stroju, jakże miło po powrocie do domu zrzucić z siebie „zawodową skórę" i włożyć ładny i wygodny szlafroczek, sharmonizowany z estetycznym i przytulnym charakterem domowego wnętrza. Podobnie i poranny negliż powinien być staranny i kokieteryjny, aby już pierwsze spojrzenie w zwierciadło wprawiało nas od rana w dobry nastrój.

Dzisiejsza moda „rozbudowała" ogromnie całą dziedzinę negliżów i domowych strojów kobiecych, odbierając zdecydowanie palmę pierwszeństwa opatrzonej już dziś piżamie. Przez długie lata kobiety nosiły spodnie w domu i na plaży zupełnie bezkrytycznie, nie zastanawiając się nad tem, czy im w tem naprawdę do twarzy. A stwierdzić trzeba, że tylko bardzo nieliczne panie zyskiwały w tym stroju, podczas gdy większość szpeciła sobie figurę tym zasadniczo dla kobiety niezbyt korzystnym strojem. Dziś mówi się słusznie o zmierzchu tej piżamowej mody, a szlafrok i strojny tea-gown pomału zajmują jej miejsce.

Jakże powinien wyglądać domowy strój wytwornej pani? To zależy przedewszystkiem od typu i usposobienia kobiety, która go ma nosić, a także od jego przeznaczenia. Kobiety lubiące prostotę i wygodę, najchęt-

niej noszą na rano skromne szlafroki o kroju męskim, z długiemi rękawami, obszernemi kieszeniami, wykończone małym kołnierzem i szerokiemi renwersami. Prostota takiego porannego negliżu w połączeniu z pięknym gatunkiem materjału, z jakiego jest wykonany, posiada niewątpliwie charakter wysokiej elegancji. Najczęście szlafroki takie robi się z grubego jedwabiu, t. zw. krawatowego, z miękkiego kaszmiru lub lżejszej wełny. Ostatnio lansowane są na tego typu szlafroki jedwabie we wzory tureckie, uzupełnione odpowiedniego koloru haftowanemi zamszowemi pantoflami, również o charakterze orjentalnym. Na zimę bardzo ładnie wyglądają także szlafroczki z jedwabiu „satin", podbite ciepłą wataliną i pikowane we wzory.

Negliże strojniejsze, o bardzo kobiecej linji robi się dziś z lśniącego „satin", ozdabiając je fantazyjnemi plisowanemi rękawami, przymarszczeniami lub też ciemniejszemi szarfami, kontrastującemi w kolorze z pastelowym odcieniem szlafroka. Bardzo modne jest obecnie połączenie koloru „paille" z ciemno-niebieskim, wpadającym w lila. Na jesiennych rewjach widywało się też strojne „saut de lit" z lżejszych jedwabiów, przybranych koronkami, a jako ostatni krzyk mody — z żorżety w kolorowe kwiaty, co wygląda bardzo młodo i powiewnie.

Ważne miejsce w stroju domowym pięknej pani zajmują dziś przedewszystkiem strojne tea-gowns, nie będące właściwie negliżem, a przeznaczone na wieczory spędzane w domu, nawet w gronie przyjaciół. Wykonuje się je z luksusowych materjałów, z ciężkich jedwabi, z miękkiej kaszmirowej wełny, a przedewszystkiem z aksamitu. Od zwykłej wieczorowej sukni różnią się one jedynie swobodniejszym i fantazyjniejszym krojem i w przeciwieństwie do niej są niemal zupełnie pozbawione dekoltu i posiadają z reguły długie rękawy. Krój ich przypomina często wieczorowe płaszcze: są wcięte w pasie, kloszowe ku dołowi rozszerzone, rękawy mają często wąskie, a przy szyi wykończone są kołnierzem lub wyłogami. Bardzo piękne są tea-gowny z czarnego velour transparent, otwierające się z przodu na różowe lub lila-rose foureau z lśniącego jedwabiu. Modne są również przybrania z futra, szczególnie przy szerokich fantazyjnych rękawach. Jedną z najbardziej udanych kreacyj pewnej firmy paryskiej był tea-gown z aksamitu „infroissable" w kolorze „iris noir" z szerokiemi rękawami z różnych strusich piór.

Takie luksusowe suknie domowe przeznaczone są oczywiście dla kobiet bardzo zamożnych i prowadzących odpowiedni tryb życia. Lecz prawie każda z pań potrafi sobie obmyśleć znacznie taniej ładny tea-gown, na który łatwo się da użyć po pewnych przeróbkach niezbyt już modną wieczorową suknię z poprzednich sezonów. Pamiętać tylko należy, że przy skromniejszych środkach lepiej zdecydować się na model prostszy w kroju i przybraniu, aby zbyt pretensjonalny tea-gown nie stał się poprostu karykaturą wieczorowej sukni.

Lady Like.



Szlafroczek Sylwji Sidney z czarnego aksamitu, ozdobiony jest wyłogami i mankietami z jaśniejszego jedwabiu.



Ranne „dolce far niente" Gail Patrick.



Na prawo: „Saut de lit" z przejrzystej gazy, włożone na nocną koszulkę z drobno plisowanej krepy, harmonizuje z subtelną urodą Caroli Lombard.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

CONSOMME DO ZUPY RYBNEJ. 6 dkg masła uciera się, dodając potrosze 2 łyżki mleka, 3 żółtka oraz szczyptę soli. Wkońcu dodaje się pianę z trzech białek, dosypując łyżkami 8 dkg mąki uważnie, aby piany zbytnio nie rozetrzeć. Lekką tą masą napełnia się małe, masłem wysmarowane i mąką wysypane foremki i piecze w piecyku lub gotuje na parze. W braku foremek można użyć rondelka i po upieczeniu wzgl. ugotowaniu na parze, krajać w zgrabne kawałki i podawać osobno lub też włożyć do zupy tuż przed podaniem, gdyż przy dłuższem leżeniu w zupie naciągają zbytnią wilgocią i stają się za miękkie.

KARP NADZIEWANY. Dwukilogramowego karpia oczyszczonego z łusek i wymytego rozcina się przez całą długość brzucha i wyjmuje ostrożnie od wewnątrz kość grzbietową i ości, uważając, aby skóry nie przeciąć. Ogon i pletwy odcina się nożyczkami. Tak przygotowaną rybę napełnia się nadzianką (przepis poniżej), zaszywa ją dość gęsto, aby masa nie wypłynęła, smaruje z obu stron grubo masłem sardelowem, utartem z 10 dkg masła i 3 sardelek, i piecze w brytwance przy częstem polewaniu. Upieczoną rybę wyjmuje się na półmisek, sos zaprawia się 1/4 l śmietany rozbitej z łyżką mąki. Sos podaje się osobno. **Nadzianka do ryby:** Dwie w mleku rozmoczone i następnie wyciśnięte bułki rozciera się z 6 dkg masła i 4 żółtkami oraz szczyptą soli. Mleczko wątróbki kraje się w kawałki i dodaje do masy. Wkońcu dodaje się pianę z 2 białek i parę łyżek tartej bułki, o ile masa okaże się za wolna. Łyżeczka siekanej pietruszki, kopru lub szczypiorku podnosi wygląd i smak nadzianki. Karpia nadziewanego podaje się pokrajanego ostrym nożem w plastry i złożonego powtórnie w całość. Półmisek ubiera się zielenią i krokietkami lub knedelkami z reszty nadzianki.

SANDACZ NA NIEBIESKO. Oczyszczoną rybę soli się od wewnątrz, nie płócząc jej przedtem. Sól nie śmie dotknąć skóry, aby się kolor nie zmienił. Pół godziny ma spoczywać, poczem zalewa się ją wrzącym octem, z czego otrzymuje piękny kolor niebieski. Po pięciu minutach wyjmuje się rybę z octu i wkłada do gorącego wywaru z jarzyn, które należy przed włożeniem ryby usunąć i wywar posolić. Rybę ugotowaną układa się na długim półmisku grzbietem do góry, polewa rumianem masłem i posypuje siekanem twardem jajem. Brzegami układa się krokietki ziemniaczane lub kulki wykrawane z ziemniaków, kruche półksiężyce i t. p. Osobno można podać sos **holenderski** ubity na parze, z rosołu z pod ryby, żółtek, soku cytrynowego i oliwy. Co do proporcji liczymy na osobę 1 żółtko, łyżkę oliwy lub roztopionego masła, dwie łyżki rosołu i na każde 2 żółtka sok z połówki cytryny, szczyptę soli i białego pieprzu. Wszystkie dodatki ubija się na parze aż się zacznie podnosić i dobrze zgęstnieje.

DOBRY I PEWNY MIODOWNIK. 25 dkg miodu i 12 dkg cukru rozgrzać silnie, mieszając, następnie ostudzić, dodać parę goździków i cynamonu miałko utłuczonych, oraz 5 dkg siekanych orzechów, 5 dkg smażonych skórek pomarańczowych, łyżeczkę potażu, rozpuszczonego w kieliszku rumu, kieliszek wody, 2 całe jaja rozbite na pianę, wkońcu 20 dkg mąki żytniej. Wymieszaną masę wlać do wysmarowanej masłem i wysypanej mąką formy (może być zwykły rondel) i piec, stopniując ciepło przez całą godzinę. Chcąc mieć ten sam miodownik z nadzianką, należy podwyższyć ilość mąki na 25 dkg, nalać do rondelka połowę ciasta, nałożyć nadziankę z orzechów lub migdałów utartych z miodem lub łyżką smażonej róży i wlać drugą połowę ciasta.

TORT ŚWIĄTECZNY. 25 dkg nieparzonych migdałów mielonych, 25 dkg mączki cukrowej, sok z 2 cytryn i pianę z 4 białek wymieszać na jednolitą masę i upiec w dużej tortownicy. Będzie to spód tortu. **Krem ciemny:** 25 dkg masła deserowego utrzeć na pianę, potem dodawać po łyżce 20 dkg mączki cukrowej oraz 25 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady, ucierając pilnie przez 20—30 minut. Masę tę dzieli się na dwie połowy, z których jedną pokrywa się poprzednio upieczony i zupełnie wystudzony spód tortu (najlepiej upiec go dzień naprzód). **Krem jasny:** 10 dkg parzonych bez łupki migdałów zemleć, dodać dwie pełne łyżki (około 10 dkg) mączki cukrowej, sok i otartą skórkę z połowy cytryny, i łyżkę kremowej śmietanki, tj. tyle, aby masa dała się równomiernie rozsmarować na ciemnym kremie. Ostatnią warstwę stanowi druga połowa ciemnego kremu. Tort jest gotowy. Wierzch przybiera się wedle upodobania, polewą czekoladową, owocami kandyzowanemi lub tylko siekanemi migdałami, wymieszanemi z grubym cukrem kryształowym.

TORT SACHER Z BIAŁEK. Po upieczeniu strucli świątecznych pozostają zazwyczaj białka jaj, z których doświadczona gospodyni użyła do ciasta tylko żółtek, gdyż dodane białka powodują szybkie czerstwienie pieczywa. Z pozostałych białek upieczemy tort. Potrzebna nam będzie tęga piana z 6 białek, 10 dkg czekolady rozmiękczymy w cieple wraz z 8 dkg masła, utrzemy doskonale, dodamy 15 dkg cukru, ucieramy dalsze 10 minut, poczem damy połowę piany i dosypujemy powoli 8 dkg mąki, wkońcu przychodzi reszta piany. Lekko wymieszaną masę wlewa się do formy i piecze w lekkim piecu. Na drugi dzień tort się przecina (nawoskowaną nitką), napełnia jakimś kremem lub marmoladą. Wierzch pokryć można polewą czekoladową.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Bardzo praktycznym wynalazkiem są małe obcążki służące do przytrzymywania gorących ziemniaków, czy też marchwi lub innych jarzyn. Ułatwiają one obieranie jarzyn i owoców, chroniąc ręce przed brudzeniem się. Na naszem zdjęciu widzimy jak należy się posługiwać obcążkami.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 51 — Grudzień — Dni 31
Niedziela 13 Łucji i Otylji	Rosół consommé. Paszteciki francuskie z móżdżkiem. Pularda pieczona w garniturze z jarzyn. Krem karmelowy z bitą śmietaną. Kolacja: Zimna polędwica z tatarskim sosem.
Poniedziałek 14 Nikazego	Kapuśniaczek z plasterkami parówek. Spaghetti z grzybami. Pieczeń nerkowa z ziemniaczkami i marchewką. Jabłka pod pianką. Kolacja: Kalafior i brukselka z masłem.
Wtorek 15 Fortunata	Zupa grochowa z grzankami. Jaja sadzone na szpinaku. Pieczeń barania "gigot" z czerwoną kapustą. Kruchy placek z serem. Kolacja: Knedel serwetkowy z grysiku i sera.
Środa 16 Adelajdy † S dn.	Krupnik na śmietanie. Włoska kapusta duszona z gruszkami i ryżem. Kuropatwy pieczone w słoninie z makaronem. Krem z konfitur malinowych z waflami. Kolacja: Wędzone ryby /płastugi, szproty etc./
Czwartek 17 Łazarza	Zupa jarzynowa puree z grzybkiem. Kotlety ziemniaczane z sosem gulaszowym. Zrazy siekane na grzybach z kaszą tatarczaną. Kompot z jabłek i suszonych śliwek /ewent. ze słoików/. Kolacja: Flaczki z parmezanem.
Piątek 18 Gracjana † S dn.	Ziemniaczanka na grzybku. Brukselka w białym sosie z cienkim makaronem. Sandacz lub szczupak w sosie sardelowym z ziemniaczanemi krokietami. Legomina ryżowa. Kolacja: Marynowane śledzie z chlebem.
Sobota 19 Nemezjusza † S dn.	Zupa z móżdżku. Biała ~~kapusta~~ z wody z rumianem masłem. Kaczka pieczona z przysmażanemi ziemniaczkami. Szarlotka w kruchem cieście. Kolacja: Wątróbka gęsia z ryżem.

HOCKI-KLOCKI

ŚLADAMI „KRÓLA MODY"



Klient do pośrednika małżeńskiego:
— Czy nie ma pan jakiejś Amerykanki dwukrotnie rozwiedzionej?... **Rys. Charlie.**

Rozwiązania z N-ru 49-go.

WYCIECZKA GÓRSKA.

Ponieważ obaj przyjaciele wznosili się na minutę 6 metrów wzwyż, więc doszli do szczytu jednocześnie. Długości obu dróg nie odgrywają roli.

BOADICEA I KLEOPATRA.

Od narodzin Kleopatry do śmierci Boadicei upłynęło 129 lat, lecz ponieważ suma lat ich życia wynosi 100 lat, więc między śmiercią Kleopatry a urodzinami Boadicei musiało upłynąć 29 lat. Dlatego Boadicea urodziła się 29 lat po śmierci Kleopatry w roku 30 przed Chrystusem — to znaczy w roku 1 przed Chrystusem.

TRZY MAŁŻEŃSTWA.

Pelagja była żoną Bonifacego, Korneija była żoną Serwacego, Leokadja była żoną Pankracego.

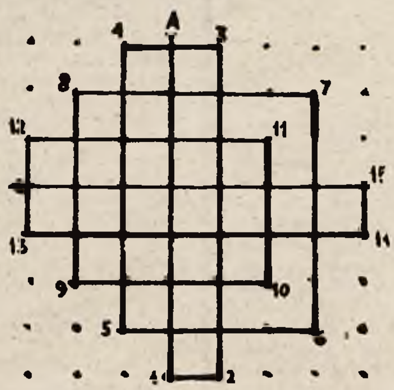
ZADANIE MATEMATYCZNE.

989.010.989 pomnożone przez 123.456.789 daje liczbę 122.100.120.987.654.321, w której ostatnie dziewięć cyfr idą w odwróconym porządku.

LICZBA 1927.

$2^{11} - 11^2 = 1927$.

PODRÓŻ AUTOMOBILISTY.



Z rysunku (gdzie pominięte przez podróżnika drogi nie są zaznaczone) wynika, że może on przejechać 70 km, robiąc tylko 15 skrętów. Zakręty są ponumerowane w tym porządku, w jakim je robił automobilista.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZABAWKI NA CHOINKĘ.

Pan Kanarek i pan Wróbel mieli swym licznym dzieciakom kupić zabawki na choinkę. Obydwaj wybrali się po zakupy do tego samego małego sklepiku, lecz każdy o innej porze dnia. Jednak w sklepie wykupiono już niemal wszystkie zabawki, z wyjątkiem statków parowych po 40 gr., piłeczek po 30 gr., laleczek po 20 gr., i trąbek po 5 gr. Nasi panowie zakupili po kilka zabawek każdego rodzaju i każdy zapłacił za dwadzieścia jeden nabytych przedmiotów 2 zł. 40 gr., przyczem pan Wróbel przyniósł do domu więcej trąbek, niż pan Kanarek. Ile zabawek każdego rodzaju kupił pan Kanarek, a ile pan Wróbel?

PROBLEM PITAGORASA.

„Kwadrat zbudowany na przeciwprostokątnej trójkąta prostokątnego", rzekł Pitagoras do swej siostry, „równa się sumie kwadratów zbudowanych na dwóch pozostałych bokach".

„Czy tak jest naprawdę?" zapytała Eureka.

„Ależ z pewnością" potwierdził Pitagoras.

„Ale przypuśćmy, że to będzie równoboczny trójkąt prostokątny" — powiedziała Eureka.

„No więc?"

„Zdaje mi się, że w takim wypadku przeciwprostokątna **nie może** być większa od dwóch pozostałych boków. Wobec tego nie miałbyś racji, Pitagorasie".

„Tak by się zdawało", rzekł Pitagoras, drapiąc się w głowę. „To musi być chyba jakiś wyjątek".

Co można zarzucić ich rozumowaniu?

HUMOR ZAGRANICZNY

ZRAŻONY.



— Nie czeka pan na pociąg ratowniczy?
— Nie! Jedno doświadczenie mi zupełnie wystarcza. Wolę wrócić do domu pieszo...
„Ric et Rac"

Dokończenie ze str. 12.

Znanym był też „zegar" w świątyni Ozyrysa w starożytnym Egipcie. Składał się on 360 naczyń, do których kolejno wlewali kapłani mleko. Płyn wyciekał z naczynia w ciągu 24 godzin. Wtedy napełniano następny dzban. Zaznaczyć należy, że naczynia tworzyły nietylko zegar, ale także kalendarz.

Klepsydra znana i używana po dziś dzień przez urzędy pocztowe, lekarzy, a nawet kucharki w kuchni — znana i używana była w Egipcie jeszcze w XVII wieku przed nar. Chr. Klepsydra-piasecznica jest odmianą zegaru wodnego.

W wiekach późniejszych zadziwił świat Boetius, który wybudował sławny zegar wodny dla króla Burgundji. Zegar ten wskazywał nietylko godziny, ale nawet obroty planet.

Rzecz oczywista, że zegar Boetiusa, a także inne wynalazki z zakresu zegarmistrzostwa w tym czasokresie były kosztowne i nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. To też w dawnych miastach dowiadywano się godziny od specjalnego strażnika oznajmiającego porę dnia, zapomocą bicia w dzwon itd. Dla użytku prywatnego robiono świece palące się przez pewien określony czas i wymyślano szereg innych sposobów, pozwalających podzielić dzień na godziny.

Czasy po Piotrze Henleinie przynoszą olbrzymi rozkwit zegarmistrzostwa. Z XVII i XVIII wieku pochodzą prawdziwe arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej — tembardziej zdumiewające, że ówcześni mistrzowie nie posiadali precyzyjnych przyrządów i narzędzi. Sławne zegarki-liliputy mieszczące się w pierścieniach czy bransoletach są dziś przy rozwoju techniki nader rzadkie i kosztowne. Łatwo sobie wyobrazić ile benedyktyńskiej cierpliwości i uporu wykazywał zegarmistrz z przed laty, tworząc swe małe arcydzieła.

Zegar regulujący życie człowieka, wydzwaniający godzinę jego urodzin i śmierci stał się bliski człowiekowi. Był niejako jego przyjacielem czy jednym z domowników — żywym — wskazującym drogi i czasy, ale zawsze milczącym i stojącym na uboczu. Może właśnie dlatego zarówno zegarmistrz, jak i artysta dający oprawę dla mechanizmu ze specjalnym pietyzmem odnosili się do zegarów i tworzyli arcydzieła. Temu specyficznemu sentymentowi człowieka dla zegaru należy przypisać, że wiele wspaniałych okazów czasomierzy stanowi kosztowne ozdoby największych muzeów.

W dziedzinie zegarmistrzostwa olbrzymie zasługi położyli nietylko ludzie specjalizujący się w konstrukcji zegarów, ale przedewszystkiem wielcy wynalazcy i inżynierowie różnych czasów, jak Fulton i in.

Do najsławniejszych zegarów świata należy słynny zegar w katedrze strasburskiej. Zegar ten jest równocześnie kalendarzem i planetarjum, a ozdobiony jest wieloma postaciami, które przesuwając się symbolizują dnie, miesiące, pory roku... Jednym z największych zegarów świata jest londyński Big-Ben, znajdujący się na wieży westminsterskiej, którego bicie znają słuchacze radjowi chyba w całym świecie. Zegar westminsterski posiada cztery cyferblaty po cztereech stronach wieży. Każdy z nich ma średnicy 8 m, a wskazówki tego olbrzyma liczą po trzy i pół m. Wahadło waży ponad 200 kg.

W ostatnich latach rozpowszechniły się bezsprzecznie jedne z najdoskonalszych — zegary elektryczne. Funkcjonują one bez szmeru i są bardzo punktualne. Pierwsze zegary elektryczne zbudowane zostały przez Steinheila (1839) i Wheatstone (1840). Od tego czasu ulepszono je i dziś stanowią one ostatnie słowo techniki zegarmistrzowskiej.

Warto wspomnieć jeszcze, że przemysł zegarmistrzowski grupuje się w danych krajach w pewnej tylko okolicy. I tak w Niemczech okręgiem zegarmistrzów jest Schwarzwald, we Francji zaś miejscowość znana z powodu fabryk zegarków, to Besançon.

Zegar elektryczny jest dziś najnowocześniejszą formą czasomierza. Co przyniesie nam jednak przyszłość? Czy będą to zegary atmosferyczne? Przyszłe lata i w tej dziedzinie przygotowują wiele zapewne zmian.

J.

To warto poznać...

NA SCENIE.

W teatrze krakowskim im. J. Słowackiego po komedji **„Arcyszofer Ewa“**, z Pawłowską, Matusiakówną, Biegańskim i Węgrzynem, dobrze odtwarzającymi role główne, weszła na afisz komedja amerykańskiego pisarza Samsona Raphaelsona **„By rozum był przy młodości“.**

Jak zauważył jeden z krytyków komedji tej, pokazanej poraz pierwszy w Polsce, możnaby dać tytuł „Szanse starszych panów wciąż rosną“. Bo anegdota sztuki przez usta dwóch młodocianych bohaterek mówi, że kobiety wolą mężczyzn po pięćdziesiątce, aniżeli młodych, wysportowanych nawet amantów. Temat został ujęty oryginalnie, bo autor bohaterami sztuki uczynił komedjopisarza i aktorów, którzy niezawsze dobrze zdają sobie sprawę, gdzie się kończy ich życie prywatne a zaczyna rola, względnie naodwrót.

Komedja została dobrze wyreżyserowana przez Karbowskiego i dobrze również główne role zagrali W. Nowakowski (Gaye), Z. Modzelewski (Dick). Wroński, a doskonałą postać stworzył Fabisiak (Flogdell). Kreację świetną w roli Lindy daje Z. Jaroszewska finezyjnie cieniując przeżycia dziewczęcia, w którem tajona miłość rozbudziła dojrzałą kobiecość. Psychologiczne przemiany i załamania tej kobiecości Jaroszewska odtwarza znakomicie.

Teatr krakowski wznawia **„Krowoderskich zuchów“ Stefana Turskiego**, by tem przedstawieniem zadokumentować jubileusz 25-lecia pracy pisarskiej i 40-lecie pracy aktorskiej autora barwnego i tak popularnego wodewilu. Turski jest dzieckiem Krakowa, ale jego sztuki zna cała Polska, a i on niemal całą za lat swej młodości przemierzył, grywając w teatrach wędrownych, zwłaszcza Małopolski i Wielkopolski. Jako aktor jest Turski bardzo sumienny i pracowity, każda jego rola ma nie tylko głowę i nogi, ale także serce. Duże zasługi poniósł Turski dla polskiego teatru ludowego, zarówno jako organizator placówek teatralnych i reżyser, ale i jako autor 30 sztuk popularnych.

W **Warszawie w Teatrze Letnim** dano rozkoszną premjerę, na którą się jeszcze nikt nie skrzywił. Wszyscy się bawią doskonale i pieją z entuzjazmu. To niezrównany mistrz dowcipu, sentymentu i piosenki Juljan Tuwim dał kapitalną przeróbkę farsy Dobrzańskiego **„Żołnierz królowej Madagaskaru“.** Dowcipne dekoracje Daszewskiego „zmieniające — jak zauważył Boy-Żeleński — owe jakże szare czasy w tęczową grę kolorów, orgję tiurniur, rajtroczków, kapeluszy i pienistych dessous“, dopomogły walnie do sukcesu widowiska, w którem dwie niezrównane kreacje dają Mira Zimińska i Marjusz Maszyński. Z reszty licznego zespołu na wyróżnienie zasługują Gellówna, Macherska, Żabczyńska, Wierzejska, Pawłowski, Kaden, Borowy, wszyscy doskonali pod batutą reżyserską Warneckiego.

W Teatrze Miejskim w Katowicach dużem powodzeniem cieszy się sztuka Kennedy'ego i Deana **„Tessa“**, przygotowana dobrze reżysersko przez Pobóg-Kielanowskiego. Na czoło wykonawców wysunęli się Zofja Barwińska (Flora), Stanisław Kostrzewski (Birnbaum), Grzębska (Teresa) i Czajkowski (Dodd). Piękną oprawę dekoracyjną dał Jarnutowski. Ostatnio Teatr Miejski wystawił potężną tragedję K. H. Rostworowskiego **„Niespodzianka“**, w której świetną kreację matki daje Wanda Siemaszkowa. Rolę ojca odtwarza Godlewski. **(b).**

NOWE KSIĄŻKI.

Tym razem kilka słów nietylko o książkach nowych, ale i o kilku dawnych, zawsze ciekawych i aktualnych, a obecnie i choćby z tego powodu, że autorem ich jest **Arkady Fiedler**, niedawny laureat nagrody literackiej miasta Poznania.

Fiedler w krótkim czasie wysunął się na czoło polskich literatów-podróżników, a jego zbiór felietonów z podróży do Ameryki Południowej, wydany p. t. **„Ryby śpiewają w Ukajali“**, zaliczony został do najwybitniejszych książek ubiegłego sezonu wydawniczego. Fiedler swe zainteresowania podróżnicze przedewszystkiem wykorzystał najpierw dla poznania całej przyrody polskiej i część wrażeń opisał w pierwszem dziełku p. t. **„Przez wiry i porohy Dniestru“**, dokumentując tą publikacją, jak on jest entuzjastą przyrody i wielbicielem piękna polskiego. Gdy pojechał do Brazylji, oszołomiła go egzotyczna przyroda, na której życie patrzył jak na niezwykłe widowisko. W puszczy, w ptactwie i zwierzynie znalazł najlepszych przyjaciół. Poświęcił im książkę **„Bichos, moi brazylijscy przyjaciele“**, która później weszła w skład nowego tomu **„Zwierzęta z lasu dziewiczego“.** Jedna to z najpiękniejszych książek dla młodzieży, choć i czytelnik dorosły znajdzie w niej i dla siebie wiele nieprzemijających wartości.

„Ryby śpiewają w Ukajali“, to jak dotąd najwybitniejsze dzieło Fiedlera, zarówno pod względem literackim i artystycznym, jak i dogłębnego zrozumienia tajemnic przyrody. Objawia się ona Fiedlerowi w pełnej oszałamiającej krasie, nie tając przed nim i swych potwornych zbrodni. Raj przyrody nad brzegami Amazonki demonstruje autorowi i swoje piekło, gdzie szaleje masowa orgja wzajemnego pożerania się i sycenia popędu płciowego. Syntezą tej niesamowitej wizji puszczy, jaką dał Fiedler, są jego słowa: „gorący las, rozpasany makabryczną orgją, pełen wybuchów zmysłowości i równocześnie zgrzytów nienawiści...“.

Zresztą książek Fiedlera nie trzeba polecać. Reklamują się one same i swą treścią i doskonałą formą. Czekamy na nowe dzieło Fiedlera **„Kanada pachnie żywicą“.** **(swb).**

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„As — 44“: Odpowiedzi możemy udzielić dopiero po dokładnem zapoznaniu się z kompozycją i tekstem.

NA NAJLEPSZEJ FALI

NIEDZIELA 13 XII

8.00 Audycja poranna.
9.00 „W 350-tą rocznicę zgonu króla Stefana Batorego“. Transmisja z Grodna nabożeństwa, podniesienia sztandaru króla Stefana Batorego oraz przeglądu wojska.
10.30 Tańce symfoniczne.
12.03 Koncert rozrywkowy.
14.15 „Moje zwierzątko“ — opowiadanie.
14.30 Muzyka lekka.
15.30 „Audycja dla wsi“.
16.30 Fragment słuchowiskowy: „Łgarz“.
17.00 Koncert symfoniczny.
19.00 „Rzut oka na najnowszą powieść polską“ — szkic literacki.
19.20 Koncert rozrywkowy.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30 Arie i pieśni kompozytorów francuskich i włoskich.
22.00 „Pasierbice sygnału“ — reportaż muzyczny.
22.30 Muzyka taneczna (płyty).

PONIEDZIAŁEK — 14. XII

11.30 Audycja dla szkół.
12.03 „Z muzyki francuskiej“.
15.15 Muzyka lekka (płyty).
15.55 „Wszystkiego po trochu“.
16.30 Koncert orkiestry wojskowej.
17.00 „Udział Polski w dyplomacji europejskiej“ — odczyt.
17.15 „Pół czarnej i piosenka“ — lekki koncert.
17.50 „Co się dzieje w kałuży“ — pogadanka.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 Recital fortepianowy Beli Bartoka.
20.00 Mała Orkiestra P. R.
21.00 Słuchowisko p. t. „Wizyta u Goethego“.
22.00 Koncert symfoniczny
23.00 Muzyka taneczna.

WTOREK — 15. XII

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Tańce różnych narodów (płyty).
15.15 Koncert.
16.30 Pół godziny pogodnej muzyki.
17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich“ — powieść mówiona.
17.15 Recital śpiewaczy Valborgi Landberga.
17.50 Monolog Teodora Bujnickiego.
18.10 „Sport po miastach i miasteczkach“.
19.00 Dyskutujemy: „Czy roboty publiczne opłacają się gospodarczo i społecznie?“.
19.20 Koncert Małej Orkiestry P. R.
20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczami radia.
20.15 Koncert symfoniczny.
22.30 „Pisarze zapomniani“ — szkic literacki.
22.45 Muzyka taneczna.

ŚRODA — 16. XII.

11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert orkiestry wojskowej.
15.15 Szlemińska, Zabejda-Sumicki, Czaplicki (płyty).
16.10 Kukiełki śląskie: „Wielki sekret“ — audycja dla dzieci.
16.30 Koncert w wykonaniu Łódzkiej Orkiestry Salonowej.
17.00 „W walce ze szpiegostwem“ (odczyt III).
17.50 Wywiad fikcyjny: „Rozmowa ze Stanisławem Brzozowskim“.
18.50 „Nawozy organiczne“ pogadanka.
19.20 Kwintet Stefana Rachonia.
20.00 Muzyka lekka.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Alfreda Hoehne'a.
21.30 „Polska opowieść o E. T. Hoffmanie“ — audycja.
22.15 Wieczorny koncert rozrywkowy.
23.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — 17. XII

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek z Filharmonii Warszawskiej dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
15.15 Koncert Tria Polskiego Radja.
16.20 „Przyroda w grudniu“ — pogadanka.
16.35 Wiązanki melodyj.
17.15 Koncert w wykonaniu Kwartetu instrumentalnego.
17.50 „Ukraińskie instytuty naukowe“ — odczyt.
19.00 Godzina lekkiej muzyki.
19.45 Koncert solistów.
20.25 „Mordy — miasto szdelkarek“ — felieton.
21.00 „Tańce i melodie polskie“ — koncert.
21.30 „Sylwetki kompozytorów polskich“ — „Adam Wieniawski“.
22.15 Muzyka taneczna.

PIĄTEK — 18. XII.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
15.15 Fragmenty oper Verdi'ego (płyty).
16.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.
17.00 „Do kraju cygar i trzciny cukrowej“ — felieton.
17.15 Muzyka (płyty).
18.30 Teatr Wyobraźni wznawia cykl dialogów Platona — cz. I. p. t. „Eutyfron“.
19.15 „Z pieśnią po kraju“.
19.55 „Harfa, cymbałki i klawosyn“ — IV audycja z cyklu „O instrumentach orkiestry symfonicznej.
20.15 „Maria“ — opera Statkowskiego w 3-ch aktach.
23.00 Muzyka taneczna.

SOBOTA — 19. XII.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
12.03 Koncert zespołu Pawła Rynasa.
14.30 Słuchowisko dla dzieci „Gwiazdka Marcina“.
15.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
16.15 „Na północy“ — koncert.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków z zagranicy.
19.30 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.30 „Na dobranoc“ — audycja muzyczna.
22.00 „Wesoła syrena“.
22.30 Robert Schumann: Fantazja C-Dur op. 17.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.